

komunikacje w rozmowie 3

komunikacje w rozmowie 3 — manifest

seria projektowanie komunikacji

pod redakcją
mariusza wszółka

Wrocław 2015

ISBN 978-83-65148-25-4

redaktor naczelny serii:
Michael Fleischer

redaktorzy serii:
Michał Grech
Annette Siemes
Mariusz Wszótek

rada naukowa serii:
prof. Michael Fleischer
prof. Aleksy Awdiejew
prof. Grażyna Habrajska
prof. Andrzej Zawada
prof. Jerzy Jastrzębski
prof. Christian Sappok
prof. Gabriel Altman
prof. Siegfried J. Schmidt

Publikacja sfinansowana ze środków Instytutu Dziennikarstwa
i Komunikacji Społecznej Uniwersytetu Wrocławskiego

redakcja: Aleksandra Jastrzębska
korekta: Grzegorz Bogdał
projekt okładki: Mariusz Wszótek
skład: Małgorzata Piwowarczyk

Wydawnictwo LIBRON – Filip Lohner
al. Daszyńskiego 21/13, 31-537 Kraków
tel. 12 628 05 12
e-mail: office@libron.pl
www.libron.pl

Spis treści

Mariusz Wszolek

Rys – powiedzmy, że – historyczny 7

część pierwsza: co było?

Michael Fleischer

Syndrom „nespresso”
albo *american way of life* 13

Tomasz Stępień

Było i było. Jest. Co jest? Co jest?!!!
Notatki z końca świata
(Literaturoznawcza liryka) 21

Marek Graszewicz

Było i było. I będzie dalej 35

Anna Węgrzyniak

Inaczej wolni, inaczej zniewoleni.
O dwu różnych pokoleniach –
z perspektywy prywatnej 43

część druga: co jest?!

Michael Fleischer

Oda do młodości 55

manifesty

Karolina Bielawska 59

Katarzyna Cichewicz 61

Brygida Czartoryska 63

Ada Czerkawska 65

Milena Dworkiewicz 67

Marta Dziura 69

Marta Fattori-Wereszczyńska 71

Monika Godyń 73

Pamela Heller 75

Olga Hołowiecka 77

Daniel Janiczek 79

Wojtek Januszewski 81

Jacek Kachel 83

Katarzyna Karasiuk 87

Barbara Kazimierczak 88

Patrycja Kinas 90

Joanna Kowalczyk 91

Hanna Kowalska 93

Wiktoria Kozber 95

Katarzyna Latacz 97

Jakub Lorek 99

manifesty cd.

Kinga Mojszewicz	100	Eryk Rozdolski	125
Magdalena Narewska	101	Michał Rychter	127
Katarzyna Okońska	103	Klementyna Sokołowska	129
Dawid Pawlak	105	Ola Sokołowska	131
Patryk Peas	107	Anita Szyszka	133
Paweł Pelikan	109	Maciej Twardowski	135
Urszula Pietras	114	Anna Udała	137
Wojciech Piskorz	116	Jan Węclawik	139
Michał Porada	118	Paulina Woźniak	140
Michał Porada	119	Szymon Zasuwa	142
Katarzyna Prus	121		
Katarzyna Psuj	123	Autorzy posterów	143

Rys – powiedzmy, że – historyczny

W listopadzie 2011 roku odbyło się pierwsze spotkanie z cyklu *Komunikacje w rozmowie*. Jeszcze nie w klubokawiarni Literatka, lecz na wrocławskim Nadodrze w Infopunkcie przy ul. Łokietka 5. Spotkanie było wielce interesujące, nie ze względu na tematykę, która miała być poruszona, ale ze względu na tłumy, których ciekawość zaprowadziła w piątkowy wieczór do miejsca bez alkoholu, słonych paluszków, sushi z serkiem Filadelfia i grillowanym łososiem. Było nas dziesięcioro: pięcioro inicjatorów projektu *Komunikacje w rozmowie*, czworo studentów, którzy skończyli wcześniej zajęcia i wpadli podyskutować o życiu i jego dziwnych czasem aspektach, oraz jedna osoba pracująca w Infopunkcie na co dzień. Spotkanie było krótkie. Kolektywnie stwierdziliśmy, że nie ma o czym gadać, i poszliśmy się napić stosownych trunków w rozpustnej części salonu miasta do modnej wtedy i dziś klubokawiarni Literatka. Teraz należałoby napisać, że pomimo przeciwności losu – gdyż to niewdzięczny los (niekoniecznie loteryjny) spowodował porażkę pierwszego spotkania – nie poddaliśmy projektu bez walki. Tak się jednak nie stało. Wypiwszy swoje w salonie miasta, zgodnie stwierdziliśmy, że przyda nam się trochę wolnego – by złapać oddech i podejść do zagadnienia od drugiej strony. W listopadzie 2012 roku spotkaliśmy się ponownie. Tym razem na dzień spotkania wybraliśmy nie piątek, lecz wtorek, na miejsce zaś – klubokawiarnię Literatka, w której zeszłego roku kolektywnie stwierdziliśmy, że przyda nam się wspomniany już oddech. Resztę historii już Państwo znacie.

Komunikacje w rozmowie to cykliczne spotkania, podczas których poruszamy interesujące nas tematy, a że wiele rzeczy i zjawisk wydaje nam się interesującymi, nigdy nie powstały ramy paradygmatyczne tego projektu. Do wystąpień, po których zwykle następują burzliwe dyskusje, zapraszamy komunikacjonistów, projektantów, architektów, działaczy miejskich, artystów, psychologów, socjologów, badaczy rynku, dziennikarzy czy przedsiębiorców. Jednym słowem: różnorodne towarzystwo wiedzy, kompetencji i energii. Co ciekawe, ideą wieczornych rozmów udało nam się zarazić nie tylko naszych studentów, ale również, co cieszy nas podwójnie, mieszkańców Miasta Spotkań.

Po czterech latach wtorkowych zebrań nie wydaje nam się, żeby idea tego projektu gaśła, wręcz przeciwnie, zauważamy potrzebę szerokiej integracji środowisk, trenowania kompe-

tencji krytycznej argumentacji i prowadzenia sporów w kulturalnej atmosferze. Widzimy również chęć zwykłego posiedzenia wieczorową porą przy kieliszku wina i angażującej rozmowie, w której refleksyjność interlokutorów jest jej najciekawszym elementem. Pomimo rosnących potrzeb socjalizacyjnych, choćby nieświadomych, oddajemy pole innym, równie, a może nawet bardziej zaangażowanym w procesy integracyjne w mieście. My potrzebujemy chwili oddechu, by móc do Państwa wrócić z nową energią i nowymi pomysłami.

Serdecznie dziękujemy za towarzystwo, krytyczne uwagi, dobre słowo i obecność w szerokim rozumieniu tego słowa. Kłaniamy się w pas, zostawiając na pamiątkę projektu *Komunikacje w rozmowie* niniejszy tom, który jest czymś więcej niż tylko zbiorową publikacją. Jest on dla nas szczególny, gdyż stanowi zestawienie interpretacji świata dwóch pokoleń – różnych pod względem doświadczeń, ale czy różnych pod względem ideałów, pomysłów czy trosk? O tym zdecydujcie Państwo sami. Pierwsza część książki jest zbiorem artykułów przedstawicieli tzw. pokolenia '68. Do powstania drugiej części przyczynili się studenci, którzy podczas zajęć z Communication Design zostali zaproszeni do napisania własnego manifestu pokolenia. Nierzadko są to bardzo osobiste teksty, a głębsza refleksja nad nimi każe podać w wątpliwość zmienną naturę pokoleń.

Na koniec, jako pewne podsumowanie różnych działań, zostawiamy instrukcję życia, niekoniecznie trzeba ją traktować poważnie i dosłownie, ale można:

1. Coś chcieć.
2. Punktem wyjścia jest pomysł, drogą jest precyzja, celem jest realizacja – którą definiuje fakt bycia zadowolonym z realizacji.
3. W gruncie rzeczy chodzi o podejmowanie decyzji, nierzadko ryzykownych – intuicyjność.
4. Myśleć o problemach w momencie, kiedy one wystąpią, nie wcześniej – inaczej produkujemy sobie problemy.
5. Mieć marzenia, bo one dają punkt odniesienia – nie mylić marzeń z celami: cele się osiąga, marzenia się ma.
6. Dać sobie oddech – we właściwym czasie.
7. Dać się każdemu wygadać – tylko tyle.
8. Bronić swojego stanowiska za pomocą argumentów – jeśli stanowisko jest mocne, to i argumenty wystarczą.
9. Zawsze mieć coś przeciwko – jeśli się ma coś przeciwko.
10. Mózgu używać do czegoś więcej niż tylko jako obciążenie kręgosłupa.
11. Dać większy gaz.

Wrocław, 07.05.2015

Prelegenci:

Michael Fleischer
Michał Grech
Annette Siemes
Krzysztof Moszczyński
Dorota Płuchowska
Mariusz Wszótek
Monika Bednorz
Dawid Lis
Michał Jakubowicz
Tomasz Stępień
Tomasz Zaleśkiewicz
Jerzy Olek
Katarzyna Pałys
Małgorzata Pałys
Wiktoria Lenart
Jarek Kowalczyk
Katarzyna Świętek
Marian Misiak
Szymon Hanczar
Tomasz Jakub Sysło
Anna Elektra Malkogiorgos
Manuela Pliżga-Jonarska
Leszek Zawadzki
Martyna Gliniecka
Joanna Burska
Bartosz Zamirowski
Roman Rostek
Krzysztof Romańczukiewicz
Małgorzata Ciesielska
Jan Komunikant
Marta Soja
Marta Płonka
Katarzyna Sowa
i inni.

część pierwsza: co było?

Syndrom „nespresso” albo *american way of life*

Obydwa te syndromy opisać można lub nawet trzeba na podstawie konceptów komunikacyjnych wolności i wzoru.

Koncept *wolności*, co do którego nie mamy żadnych wątpliwości, że chodzi o coś pozytywnego, do czego osiągnięcia wszyscy dążymy, stosowany jest wewnątrzsystemowo tylko, to znaczy: wolność definiowana jest z punktu widzenia kapitalizmu, jako wolność działania w jego ramach i na jego korzyść; w jakikolwiek sposób (na tym polega wolność), byle na jego korzyść. Bogata i szeroka oferta rynkowa daje nam jako konsumentom wolność wyboru. Ale po pierwsze wolność wyboru tylko tego, co jest oferowane, a zatem ograniczone do produktów istotnych dla przemysłu, a po drugie wolność tylko dla nas, to znaczy dla tych, których na te produkty stać, a niekoniecznie dla tych, którzy je w tak zwanych krajach Trzeciego Świata¹ produkują. Ani jedna, ani druga wolność nie mają oczywiście nic wspólnego z konceptem wolności stosowanym w systemie społecznym, gdzie wolność oznacza trochę coś innego niż wybór tylko; wybór z ograniczonego i oferowanego repertuaru. Nie możemy sobie wybrać produktów wyprodukowanych w zgodzie ze środowiskiem naturalnym, gdyż takich produktów nie ma². A jeśli nie są one oferowane, to również nie istnieją, i nie wpadamy na to, że mogą istnieć, a tym samym, że można je produkować. Mamy co prawda produkty bio czy eko, ale to tylko nazwy służące lepszemu (bo droższemu) urynkowaniu produktów, a nie ochronie środowiska naturalnego. Poza tym produkty te oferowane są w tradycyjnych strukturach kapitalistycznych, czyli zostały przez nie zasymilowane. Widzimy tu wyraźnie, że koncept wolności mylony jest z konceptem

¹ Zawsze mnie intrygowało, kto te światy policzył i gdzie wtedy siedział.

² A te, które z taką nalepką są oferowane (eko, bio itp.), nie mają oczywiście nic wspólnego z ekologią czy ze zrównoważonym rozwojem, gdyż bazują na rachunku mleczarki. Określamy bowiem ich ekologiczność tylko w odniesieniu do tu i teraz, a nie na przykład w relacji do kosztów, jakie ponosi się przy ich produkcji w krajach, w których są wytwarzane. Czyli produkujemy w Chinach albo w Chile co prawda ekologicznie i w sposób kontrolowany, ale nie liczymy kosztów transportu tych produktów do Europy, które nie dość że są wysokie, to na pewno nie są ekologiczne. To nie błąd stylistyczny – koszty też mogą być ekologiczne bądź nie.

wyboru: jeśli mamy wybór, to mamy wolność (wyboru); podczas kiedy my wiemy, że mamy tylko alternatywy, oraz wiemy, że wolność to wolność tworzenia sobie możliwości, a nie wybór między zastanymi alternatywami. Alternatywy i możliwości to dwa najzupełniej różne obiekty.

Koncept wolności jest jednak jeszcze ciekawszy i dlatego pozwolę sobie na jego detaliczne potraktowanie, dla ułatwienia na przykładzie tego, co nazywamy *american way of life*. Syndrom *american way of life* ogniskuje się w haśle: „żyjemy w kraju nieograniczonych możliwości!”. Jak się okazuje po wyczerpującej analizie, bazuje on na niesłychanie skomplikowanym algorytmie komunikacyjnym³. Postaram się go tutaj naszkicować, a rzecz rozsupłać.

Trudność (nie tylko dla czytelnika) polega teraz na tym, że syndrom ów (a w rezultacie również algorytm) nie jest linearny, lecz wielopoziomowy, można go natomiast zaprezentować (inaczej niż myśleć) tylko linearnie, gdyż taka jest podstawowa technika komunikacji językowej. O ile bowiem komunikacja nonwerbalna pracuje na wielu poziomach równocześnie i może nawet korzystać równocześnie z metapoziomów, o tyle językowo coś wyjaśniać i komunikować można tylko linearnie właśnie (zwłaszcza w druku oczywiście). Wyróżnię tu zatem: poziom prezentacji algorytmu, poziom jego zewnętrznego opisu oraz metapoziom operacji; może w ten sposób uda mi się przedstawić zagadnienie. Wyjdźmy od algorytmu *american way of life*⁴.

Reguła: Jesteś absolutnie wolny. Możesz robić, co chcesz.

Warunek: Ale musisz robić to, co wszyscy.

[Opis: w innym wypadku (nie logika⁵, lecz) reguła się załamie, a tym samym *american way of life*.]

³ Uwaga: zajmując się syndromem *american way of life*, nie mam na myśli USA (przynajmniej nie tylko) ani jakiegoś innego konkretnego kraju, lecz jedynie sam syndrom, który może być (i jest) stosowany w różnych systemach społecznych i tym samym w różnych krajach. To zaś, że w USA również, to już nie moja wina. Jako, raczej zabawny, przykład tego syndromu przytoczę wypowiedź Stephana Particka Tahy'ego, szefa koncernu zabawkowego Mattel, na temat sprzedawanej przez ten koncern lalki Barbie: „Barbie reprezentuje nieograniczone możliwości i pozwala wejść w każdą rolę. [...] marka ta to dużo więcej niż lalka, a mianowicie styl życia”. Pod warunkiem oczywiście, że pozostaniemy przy Barbie. Kogo to nie zadowala, może alternatywnie wykorzystać Kena. Podstawa syndromu pozostaje ta sama, w jej ramach natomiast możliwości są nieograniczone. Wypowiedź Tahy'ego cytowana za: Jens Bergmann: *Die Außerirdische – Barbie*. „brandeins” 15, 2 Februar 2013, s. 10.

⁴ W dalszej części opisu będę się czasami posługiwał personifikacją systemu i używał stosownych czasowników, lecz to tylko dla ułatwienia wywodu.

⁵ W komunikacji nie ma logiki, dlatego nie ona się załamie.

Metapoziom operacji:

Powstaje na tym poziomie następujący problem – jak tę regułę spełnić (być absolutnie wolnym), nie zauważając wewnętrznej sprzeczności między regułą a warunkiem oraz wynikającego z niej kolejnego problemu? To znaczy: by owa wewnętrzna sprzeczność nie wpływała na działanie *american way of life*.

Ów kolejny problem to: wszyscy co prawda robią, co chcą, czyli to, co robią wszyscy, i tym samym nie zauważają sprzeczności, gdyż jej dookoła nie widać, ale mogą się (w charakterze zakłócenia systemu) pojawić tacy, którzy chcą działać w myśl zasady: „ale ja chcę robić coś innego”. Z tego powstaje kolejna trudność – co system ma zrobić z tym, że jest „inne”, i jak owi (wspomniani wyżej) „tacy” wpadli na istnienie „innego”?

Rozwiązanie systemowe: system musi doprowadzić do stanu, w którym uważa się, że to, co się robi, jest tym, co chce się robić. Oraz że owo „to” jest wszystkim, co jest możliwe, i inaczej się nie da, i dokładnie to robią wszyscy. Doprowadza się zatem do tego stanu. Jak? Patrz za chwilę niżej. Jest więc rezultat.

Rezultat: Jesteś nieograniczenie wolny, żyjesz w kraju nieograniczonych możliwości.

[Opis: tego, że możliwości, które w tym świecie są dane jako „wszystko”, istnieją tylko w tym świecie oraz tylko w tym świecie istnieją jako „wszystko”, oraz że chodzi tu tylko i wyłącznie o alternatywy – tego się nie zauważa. I dlatego nie ma „inne”. To znaczy „możliwości” oraz „wszystko”, co się robi, są tym samym.]

Metapoziom operacji:

Zadanie: Jak system ma to zrobić, by (w jego ramach) nie zauważać „innego”?

Rozwiązanie, czyli centralna operacja: trzeba komunikować, że to, co robimy *my*, jest właśnie tym „innym”. Czyli nie niwelujemy samej opozycji, lecz jedynie jej semantykę, przez co pierwsza staje się systemowo nieistotna⁶. Genialność tego algorytmu i zabiegu jest porażająca, jeśli pozwolicie mi Państwo na chwilę zachwytu.

[Opis: klasyczne totalitaryzmy (te złe, jak faszyzmy, komunizmy, nazizmy itp., i te dobre, jak teistyczne religie) generują strukturalną opozycję „my–oni”, z widoczną na powierzchni systemu manifestacją tej opozycji w formie „nasze–inne”, i uzasadniają, że „inne” jest złe, a „my/nasze” jest słuszne. Cała komunikacja (i w jej ramach jej

⁶ „Nieistotna” w rozumieniu teorii systemów, to znaczy: niemająca wpływu na generowanie systemu i utrzymywanie go w ruchu.

propaganda) kieruje się na deprecjonowanie „innego” oraz wychwalanie „naszego”, za pomocą stosownych środków językowych lub przemocy (fizycznej czy psychicznej). *American way of life* natomiast sytuuje „inne” jako „nasze/my”, bo tylko to jest. „Inne inne” natomiast nie istnieje. Dlaczego? Bo „inne inne” nie jest komunikowalne. Wszystko, co jest, my już robimy. „My” okupuje „inne” za pomocą predykatu „wszystko” (= nieograniczona wolność.)]

Metapoziom operacji:

Przykład: jest nespreso i w jego ramach *tysiące* smaków; nieograniczona ilość smaków, czyli wszystkie smaki⁷. Cóż by zatem mogło jeszcze istnieć, skoro nespreso już jest nieograniczone? My (= systemy spoza *american way of life*) wiemy co – coś innego niż nespreso, na przykład espresso. Ale *american way of life* pracuje smakami (a nie ich producentami, którzy stają się w tym systemie niewidoczni) i te smaki rzeczywiście oferuje, okupując ich tysiące albo i więcej – ma je wszystkie i tym samym okupuje „inne”. A ponieważ dla *american way of life* nespreso to po prostu nowocześniejsza i bardziej postępową formą espresso (i wszystkich innych sposobów parzenia kawy), to oferuje on również espresso, tyle że w (postępowej) formie nespreso, a więc oferuje wszystko, co istnieje. Potrzebny jest tylko koncept postępu.

[Opis. Wniosek: w tym świecie nie ma innych światów ani miejsca na nie, bo ów świat, czyli „my”, okupuje „wszystko”, które jest nieograniczone (jak to wszystko).]

Metapoziom operacji:

Z tego poziomu widać, że dochodzi tutaj do systemowego zakazu stosowania perspektywy obserwatora zewnętrznego. Jak? Perspektywa ta nie mieści się w koncepcie „inne”, skoro „my” ten koncept w całości okupuje (sic!). Przez co nie ma możliwości obserwacji, gdyż nie ma systemowego miejsca, z którego można by tę operację przeprowadzić, skoro „inne” też jest nasze, a „innego innego” nie ma.

W jaki sposób to działa? W świecie *american way of life* nie ma okularów i możliwości wyjścia z tego świata. Na przykład przez zdanie sobie sprawy, że istnieją okulary oraz że w zależności od danych okularów widzimy to lub owo i że zawsze widzimy przez okulary. Przez okulary trzeciej rzeczywistości, czyli komunikacji. Ale kiedy wszyscy widzimy przez okulary, wtedy okularów nie ma. A, jak już wiemy, konieczne do wyjścia z tego świata zastosowanie perspektywy obserwatora nie jest możliwe.

⁷ Na wszelki wypadek dodam, że system nespreso wymyślił szwajcarski inżynier Eric Favre, który wprowadził go w Szwajcarii w 1986 roku (samo nespreso zostało wymyślone w 1970 roku przez Nestlé i w 1976 opatentowane), z czego wynika, że nie reprezentuję antyamerykanizmu. Obecnie na rynek wchodzi Tpresso, czyli stosowna herbata.

A więc okulary nie istnieją. Dlaczego? Bo nikt ich nie nosi. A skąd to wiemy? Bo ich nie widać. Bo my już robimy wszystko, więc gdyby były, byłoby je widać. A nie widać ich, bo nikt nie wie, że są. Dlatego ich nie ma.

Widzi je co prawda dziecko (to Andersena z bajki), które dostrzega, że król jest nagi. Ale ono się nie liczy. Dlaczego? Ponieważ jest dzieckiem i jeszcze niczego nie wie, nie rozumie i trzeba je edukować, czyli wprowadzić w nasz świat (patrz rozwiązanie systemowe wyżej).

Ambitna próba zniszczenia *american way of life*:

Zarzut: Tak, ale na świecie mówi się wieloma językami, a wy mówicie (tylko) po angielsku.

Odpowiedź *american way of life*: Nie, nie, u nas w Ameryce ludzie mówią różnymi (to znaczy – wszystkimi) językami, a poza tym wszyscy mówią po angielsku.

Wniosek: Próba się nie powiodła!

I tak podwójnie okupuje się „wszyscy”: wszystkie języki i wszyscy (ludzie). Czyli generalnie – „wszystko”.

Wewnątrzsystemowo zaś zjawisko widzi się tak (to relacja amerykańskiej studentki z podróży po Europie):

„W Disney World wszystkie państwa są od siebie o wiele mniej oddalone i pokazują zawsze to, co jest w każdym kraju najlepszego. Europa jest nudna. Ludzie mówią w dziwnych językach i wszystko jest brudne. Czasami w Europie przez całe dni można nie zobaczyć niczego interesującego, za to w Disney World coś nowego wydarza się cały czas, a ludzie są weseli. To dużo lepsza zabawa. Jest dobrze [ten świat] zaprojektowany”⁸.

Poruszyć zatem trzeba też syndrom espresso.

W niektórych światach pracuje się linearną, temporalnie nadbudowującą konstrukcją rzeczywistości, w której, zarówno przestrzennie, jak i temporalnie, istnieje „przód”, będący „dalej niż tu”, w której przestrzennie istnieją „centrum” i „peryferia” (poziomo), a czasowo (pionowo) „lepiej niż teraz/dawniej”. Wszystko bazuje na *nadbudowaniu*, przy czym połączone jest z wartościowaniem.

⁸ Wypowiedź studentki zamieszczona w: Douglas Kelbaugh: *Common Place. Toward Neighborhood and Regional Design*. Seattle 1997, s. 51; cyt. za: David Harvey: *Bunt miast. Prawo do miasta i miejska rewolucja*. Tłum. Praktyka Teoretyczna. Warszawa 2012, s. 134.

W innych światach natomiast pracuje się *wzorami*. Nie ma „przodu”, nie ma „coś jest lepsze, kiedy jest tego więcej” (lub mniej), lecz są tylko wzory, to znaczy: „tyle i tyle jest właściwe, odpowiednie, wystarczające”. Takim wzorem jest na przykład espresso⁹.

W tych pierwszych światach dane wartościowanie („lepiej”) łązone jest z określoną ilością, i to połączenie funkcjonuje we wszystkich kierunkach, przy czym odpowiednie skale przebiegają równolegle. To znaczy: więcej jest lepiej, mniej jest źle/gorzej (lub odwrotnie, to bez znaczenia).

Zjawisko wzoru precyzyjnie opisał swego czasu Sōetsu Yanagi na przykładzie rzemiosła japońskiego. Kiedy uchwyciło się znaczenie wzorów, wtedy zrozumiało się zjawisko piękna. Mamy zatem do czynienia z zależnością między przemianą w piękno i przemianą we wzory¹⁰. A to w tym sensie, że każdy przedmiot zawiera w sobie swój wzór, swój prototyp, jak byśmy dzisiaj powiedzieli, a wzór ten jest rezultatem sposobu podejścia do przedmiotu. Wzór jest zarówno wierny naturze, jak i sztuczny. Piękno wchodzi w dany przedmiot poprzez dodanie do przedmiotu sposobu widzenia; przedmiot i sposób jego widzenia czynią razem jakąś rzecz piękną. A wzory to rezultaty sposobu widzenia przedmiotu, powstające wtedy, kiedy intuicyjnie zostaje uchwycona istota rzeczy. Ponieważ wzór jest prezentacją tego, co istotne, usunąć trzeba w procesie produkcji wszystko, co nieistotne i zbędne, wtedy wzór będzie tym, co pozostanie. Jak mówi Yanagi, „wzory zawierają w sobie naturę natury, zawierają to, co istotne”. I jeszcze inny cytat – „Kraj bez wzorów jest brzydkim krajem, jest krajem, który nie ma miejsca dla piękna”¹¹. Wzór i piękno są zatem tym samym – przedmiotem, jego użyciem i sposobem jego widzenia.

Proszę przy okazji zwrócić uwagę na to, jak ludzie u nas naciskają klamkę i otwierają drzwi (niekoniecznie zresztą w tej kolejności), aby zrozumieć, o co tutaj chodzi. Może między innymi dlatego w Japonii do pewnego czasu nie było klamek, a drzwi były z papieru.

⁹ Generalnie na temat wzorów zob. Michael Fleischer: *Estetyka tu i tam i jej wpływ na komunikację*. Łódź 2010.

¹⁰ Mowa tutaj o Sōetsu Yanagi (1889–1961), który w latach 20. XX wieku podjął próbę zaktualizowania tradycji japońskiego rzemiosła. Yanagi założył ruch Mingei (Japan Crafts Movement), a następnie Mingei-kan (Japan Folk Crafts Museum), mające na celu zebranie i zachowanie wyrobów tradycyjnego rzemiosła oraz tradycyjnych technik w nim stosowanych. W rezultacie swojej działalności zrekonstruował również stojący za wyrobami tego rzemiosła kanon piękna, czy system estetyki, który opatrzył etykietą „piękno prostych przedmiotów”, a który bezpośrednio wynika z estetyki zen, stanowiącej zarówno podstawę całej japońskiej estetyki, jak i regulującej sposób korzystania z przedmiotów stworzonych w jej ramach. Zob. Sōetsu Yanagi: *Die Schönheit der einfachen Dinge. Mingei – Japanische Einsichten in die verborgenen Kräfte der Harmonie*. Bergisch-Gladbach 1999, s. 47.

¹¹ Zob. tamże, s. 51. Tłumaczenie własne.

Piękne zatem nie jest to, co regularne, gładkie, ułożone itp., lecz to, co nieregularne. Ale nie na zasadzie trywialnej opozycji, gdyż nie w tym rzecz. Nie chodzi tu bowiem o dualizm tego, co doskonałe i niedoskonałe, lecz o sferę, o świat, w których takie rozróżnienia jeszcze (lub już) nie istnieją. To bardzo istotny moment dla zrozumienia tej estetyki. To bowiem, że ta konkretna czarka do herbaty jest nieregularna, wiem wtedy, kiedy najpierw produkuję, a następnie stosuję opozycję „regularne/nieregularne” (a to już za późno), po czym semantyzuję odpowiednio obie strony tej opozycji¹².

W tych drugich światach dany jest wzór, który reguluje wartość pożądaną, i ta jest na stałe połączona z wartością, ale nie z wartościowaniem. Co najwyżej można tę (idealną) wartość połączyć z dążeniem do perfekcji (to znaczy ze stałym przybliżaniem się do wartości pożądanej), której się oczywiście nigdy nie osiągnie. Tu panuje perfekcja jako metoda, jako stan do osiągnięcia.

W tych światach chodzi więc o stan, a w tych pierwszych o wydarzenie.

Stan pozostaje, jakim jest, gdyż jest to stan; wydarzenie może być zastąpione nowym, które jest „lepsze”. Stan – nie. Stan tylko jest i to, co temporalne, nie ma na niego wpływu. Przy wydarzeniu to, co temporalne, jest wbudowane weń jako niezbędny czynnik generujący.

I w tej logice espresso staje się wydarzeniem (mimo że jest stanem), a nespresso jest innym (nowym, lepszym) wydarzeniem. Podczas kiedy w owych innych światach espresso jest stanem, któremu niczego nie brakuje, o ile odpowiada wzorowi.

Również kapitalizm może funkcjonować tak albo tak; nie musi postępować za tą pierwszą metodą. A może nie?

Chodzi mi tutaj generalnie o wzory, więc nie musi to być espresso; może to też być piwo czy bigos lub cokolwiek. Żeby bigos był bigosem, musi w nim być to, a nie to, tyle, a nie więcej ani mniej itp. Espresso zaś wymaga przestrzegania 5M¹³. Z piwa zaś próbuje się w ramach *american way of life* zrobić nespresso. Wiadomo, że piwo robi się z wody, słodku, chmielu i drożdży w taki, a nie inny sposób, z czego wynika taka, a nie inna ilość alkoholu, jako że jest to piwo. W ramach *american way of life* robi się zaś piwo mocne, zawierające więcej alkoholu, bo, jak wiemy, więcej to lepiej, lub robi

¹² Zob. tamże, s. 80.

¹³ 5M: 1. La Miscela, mieszanka: wybór i jakość ziarna, odpowiednie prażenie kawy, świeżość ziaren. 2. La macinatura, mielenie: stosowna perfekcja mielenia oraz ilość kawy (7 g). 3. La macchina espresso, właściwa maszyna. 4. La mano maestra, ręka mistrza i realizacja punktów od 1 do 3 oraz stosowna filiżanka (o grubych ściankach), właściwe ubicie kawy. 5. La missione, jakość życia. Ale o tym można by długo.

się piwo zawierające inne jeszcze składniki, polepszające, ma się rozumieć, piwo. Więc już nie wzór, lecz postęp.

To samo dotyczy plakatu reklamowego kołobrzeskiej restauracji Pizzeria cantina toscana.



Wiadomo, że pizza to pizza, że istnieje wzór pizzy. Wzór pizzy niczego dodatkowo nie wymaga ani niczego mu nie brakuje. To jednak nie zadowala, gdyż, jak już wiemy, nie byłoby wtedy postępu i nie byłoby nowości. A więc oferujemy „nowości prosto z Włoch”, z Włoch mitycznych i z katalogu biur podróży, w rezultacie mamy nową pizzę, no i postęp oczywiście, który w przyszłym sezonie będzie wymagał kolejnych nowości. Na końcu w każdym razie nie będzie już pizzy. Gdyż – jak stosownie zauważył swego czasu pewien mniej więcej dziesięcioletni chłopczyk w restauracji w Olsztynie (koło Częstochowy) na widok podanej przez kelnera pizzy właśnie – „Z tego można zrobić kebab, wystarczy złożyć na pół”¹⁴. W rzeczy samej można.



¹⁴ Moja obserwacja: Olsztyn 28.08.2009, godzina 14.52.

Było i było. Jest. Co jest? Co jest?!!! Notatki z końca świata (Literaturoznawcza liryka)

1.0.0. Jestem JA. Współwinny, współuczestnik, obserwator. Doktor nauk humanistycznych i zjadacz ziemniaków. Członek Sosnowieckiej Spółdzielni Mieszkaniowej (M-4, kuchnia, łazienka, WC + 3 pokoje), kolorowy TV, maluch (fiat 126p), pralka automatyczna – niższa średnia klasa w byłej PRL. Członek rzeczywisty Polskiego Związku Kynologicznego (suka, bokser maści pręgowanej – Bryza-Tara von Kolzik). Stan cywilny – żonaty. „Stan cywilnej odwagi” (Barańczak) – mały, w porywach do średniego.

1.1.0. Rodowód mojego psa obejmuje cztery pokolenia wstecz (pradziadowie od strony ojca – Bosko von Schellbergerhof i Oliwia von Boxerkamp). Mój jakby mniej. Ktoś kiedyś przywędrował z jakiejś wsi (kieleckiej?) za robotą. I został tu – w Czerwonym Zagłębiu. Harował (bodaj dziadek ze strony matki) w fabryce pilników, umierał, mając 35 lat. Pewnie było i było. Ojciec spóźnił się na wojnę (NIEMCE kazali mu robić na kopalni), za to starał się zabijać Ukraińców i chłopców z poakowskiej partyzantki w czasie naszej malutkiej, milutkiej wojny domowej. Oni też próbowali, ale im się nie udało. I jestem JA.

1.2.0. Ja – człowiek znikąd. Postępowiec. Lewicowiec. Internacjonalista i patriota. Wielbiciel Che Guevary i latynoskiej guerilli. Poezja i theatrum rewolucji. Twoja Boliwia jest tutaj. Strukturalizm i sztuka interpretacji. Miłość metodologiczna i inna. Było. Jest (?). Marksizm–socjalizm–partia. „Świadomość dość nudnej konieczności” – genialny (tak się zdawało) wers z wiersza niejakiego Michała Fleischera. Geopolityka (ROSJA! ROSJA!). NUDAAA i nuda.

2.0.0. Było DOBRZE. Binarnie. My i oni. Oni w zgniłym kapitalizmie, my radośnie budujący nowy wspaniały świat, nową moralność, nowego człowieka. Nasze dobre wojny, interwencje, akty i fakty. Ich złe. Socjalizm z ludzką twarzą. Polska droga do socjalizmu. Socjalistyczna kultura masowa. Socjalistyczne społeczeństwo konsumpcyjne. Socjalistyczna demokracja i socjalistyczny pluralizm w socjalistycznej Ojczyźnie. Socja-

listyczne organizacje młodzieżowe. Socjalistyczna planowa gospodarka i socjalistyczne z grubsza wszystko. Socjalistycznego Kościoła nie było.

2.1.0. Było DOBRZE. Binarnie. My i oni. Oni TU, my TAM. Oni (RUSKIE, Sowietci, Moskale) ograniczają naszą suwerenność, żrą naszą szynkę, kradną nasz węgiel i statki. Ale są gupie. My wspominaliśmy przegrane powstania, Żółtkiewskiego na Kremlu, Chrobrego i Piłsudskiego w Kijowie, i pokazujemy im wała jak tyczkarz Kozakiewicz na olimpiadzie w Moskwie. My som przedmurze Europy (a czasem pomost). Oni som Azja, my som z pnia chrześcijańskiej kultury zachodniej. Siostrzyca słodka Francja, dumny Albion i Amerykaaa. No i NIEMCE...

2.2.0. Było DOBRZE. Jak wyżej. Oni na górze, my na dole. Oni rządzą (źle, źle, źle), oni nie pozwalają, oni kłamią i manipulują. Sekretorze z kumitetów, czerwoni, komuchy. Oni dają, bo mają dawać. Mięso, domy, samochody, pracę, zdrowie i oświatę. Wolność słowa i wyznania. Należy się. Zgodnie z konstytucją i pryncypiami ustroju. A nie dają. Albo mało. Nam. Ludowi pracującemu miast i wsi. Narodowi.

2.3.0. Było DOBRZE. My u siebie, oni poza. Oni źle budują nasze bloki, szyją tandetne ubrania, są arogancy, chamscy w urzędach, sklepach, tramwajach. *My home is my castle*. Reszta obca, wroga, niczyja. Ja to ON.

2.4.0. Było DOBRZE. Rok polski. Październik '56, Marzec '68, Grudzień '70. Sierpień '80. Krew, strajki i SOLIDARNOŚĆ. Nasza, całego społeczeństwa przeciw wyalienowanej, totalitarnej władzy. NIE MA CHLEBA (mięsa) BEZ WOLNOŚCI. Jest wolność, nie ma mięsa. Samoograniczająca się rewolucja w epoce Breżniewa. Polska mesjaszem narodów Europy Wschodniej. I wybuchła wojna polsko-jaruzelska.

2.5.0. I znowu DOBRZE. Totalitaryzm i demokracja. Orzeł i Wrona (Wojskowa Rada Ocalenia Narodowego). PRON (Patriotyczny Ruch Ocalenia Narodowego) i prącie. Front odnowy i front odmowy. Integracja i emigracja (też wewnętrzna). Internowani i nominowani. Kolaboranci i demonstranci. Neozwiązki i podziemie. Nie ma powrotu do anarchii. Reformy będą kontynuowane konsekwentnie. Zima wasza, wiosna nasza. Nie ma wolności bez Solidarności. Solidarnie kontynuujemy socjalistyczną odnowę. Czerwonych nie ruszysz.

3.0.0. Lekcja socjalistycznej ewangelii:

Masy walczą o rozwiązanie zadań znaczących zmianę ich sytuacji społeczno-ekonomicznej, a rozwiązanie jednego z nich umożliwia rozwiązanie kolejnych. Rola partii ideowej i po-

litycznej awangardy mas polega na wyjaśnianiu istoty sytuacji, jej rozwojowych tendencji, sensu działań masowych, na uogólnianiu doświadczeń walki, teoretycznym ich przetwarzaniu i wnoszeniu do świadomości klasy robotniczej. W historycznym procesie walki o ludowladztwo i sprawiedliwość społeczną realny socjalizm zapisuje się jako udana, na miarę realnych możliwości, próba ich urzeczywistnienia, przekształcania w trwałe zasady i normy życia zbiorowego. Siły twórcze realnego socjalizmu są [?] [...]¹.

Lekcja martwego języka. Świadomość dość nudnej konieczności. Było tak i było inaczej. Jak komu.

4.0.0.

Komunizm jest zbrodniczą ideologią, a wszystkie próby jej zrealizowania zbrodnią. [...] To monstrualne zło musi zostać przezwyciężone. Należy przeprowadzić proces dekomunizacji na wzór denazyfikacji w pohitlerowskich Niemczech. Przede wszystkim należy przyjąć, że wszyscy ci, którzy należeli do PZPR po 13.12.1981 nie mogą pełnić funkcji publicznych w społeczeństwie. Nie mogą być nauczycielami, profesorami, sędziami, urzędnikami państwowymi, nie mogą być wybierani na posłów, senatorów czy też do samorządów lokalnych. Mogą natomiast pracować w przemyśle, handlu, usługach, jako prywatni przedsiębiorcy itp.²

Co jest?!

4.1.0. Znowu ja. Z ręką w nocniku. Były wierzący komunista, były członek PZPR w obliczu totalnego krachu Religii, Kościoła i Wszecpaństwa Komunizmu. O tak, zdążyłem wystąpić z Partii (po długich hamletycznych rozterkach) na chwilę przed początkiem końca świata (kwiecień '89). Samodzielnie, niezależnie, samorządnie. Chciałem sobie poszukać na własną rękę wolności, może jakiegoś Boga, bo ja wiem, innego sensu życia. Powolutku poukładać. Poza historię. Między doświadczeniem a metafizyką. Jakby nie w porę. JA.

4.1.1. Nie mam rodziny pochodzącej z okolic Wilna lub Lwowa. Ani pradiadka – powstańca z 1863 roku, ani dziadka – legionisty Piłsudskiego, ani ojca z Armii Krajowej. Byłem w pierwszej Solidarności, ale nie wystąpiłem z partii po ogłoszeniu stanu wojennego. Nie byłem internowany, nie konspirowałem, a nawet nie udawałem, że konspiruję. Jestem ateistą i nie chodzę do kościoła. (Od pewnego czasu moi niewierzący znajomi wykonują minimum rytualnych gestów katolickich. Ślub kościelny. Chrzczyny. Dla świętego spokoju).

¹ Marian Orzechowski: *Spór o marksistowską teorię rewolucji*. Warszawa 1984, s. 372.

² Dr Tomasz Wójcik, członek władz Dolnośląskiego Regionu NSZZ „Solidarność”, cyt. za: „Trybuna Kongresowa” 1990, nr 10.

4.1.2. Szczęściem nie byłem nigdy w partii wewnętrznej. (Chociaż taki Michał Jagiełło, aktualny wiceminister kultury, był przecież zastępcą kierownika Wydziału Kultury w KC PZPR. Ale potem redagował organ prasowy ojców jezuitów. I teraz ma). Teraz to za późno, żeby się nawrócić. Trzeba by bardzo głośno. Im później się ktoś nawracał – i ludzie, i partie, np. Stronnictwo Demokratyczne – tym głośniej. Do klasztoru wstąpić, czy jak.

5.0.0. Ale się posypało. I to jak szybko. Z grubsza tak: sierpień '88 – fala strajków drugiej generacji Solidarności. Przepychanki w partii – beton przegrywa. Solidarność się ujawnia i ma w jakiś sposób współrzędzić. Kwiecień '89 – koniec Okrągłego Stołu. Kontrakt polityczny między elitami opozycji i koalicji rządzących partii. Projekt półdemokratycznych wyborów do parlamentu – PZPR i partie satelickie rezerwują sobie decydującą liczbę miejsc. Czerwiec '89 – totalna klęska wyborcza rządzącej koalicji. Wybory uzupełniające, żeby zapełnić parlament. Jaruzelski prezydentem. Jednym głosem. Nieudana próba desygnowania Kiszczaka na premiera. Rakowski I sekretarzem PZPR. Nowa koalicja z inicjatywy Wałęsy (SD, ZSL i Solidarność). Wasz prezydent, nasz premier – Mazowiecki. Wrzesień – nowy rząd – zdominowany przez Solidarność. Koniec stycznia '90 – samolikwidacja PZPR. W międzyczasie posypało się dookoła. Jesień Ludów.

5.1.0. Socjalizm jako najdłuższa droga do kapitalizmu. Polska droga do kapitalizmu. Kapitalizm z ludzką twarzą. System rynkowy. Prywatyzacja. Rachunek ekonomiczny. Koniec z dotacjami. Bezrobocie?! Jesteśmy wreszcie we własnym domu. Nie stój, nie czekaj. Co robić? Pomóż! – mówią artyści Rzeczypospolitej. Poza tym wracamy do Europy. Z wyciągniętą ręką, rzecz jasna. Ale nie my jedni, niestety. Choć nam należy się najbardziej jako kombatantom walki o wolność i demokrację.

5.2.0. Rebelianci zwyciężyli. Sami się tego nie spodziewając. Zwyciężyła drużyna Lecha. Nawet koń ze zdjęciem Wałęsy zostałby senatorem. (Plakaty w wyborach – Wałęsa w uścisku dłoni z kandydatem w określonym okręgu wyborczym). Telewizja przegrała z ambonami w kampanii wyborczej. Wreszcie można było powiedzieć „nie”. IM. ONYM. NIE. Chociaż oni się starali. Reformowali się i w ogóle. Indywidualizowali. Przebierali – co demaskowała nasza nauka o nowomowie:

I to właśnie dla obecnego położenia nowomowy w Polsce wydaje się najważniejsze: stała się ona językiem pasożytniczym, językiem czerpiącym słowa i formuły z różnych odmian mowy, także tych, które do niedawna określane były jako wrogie. Nowomowa traci więc swój wymiar stylistyczny, rozmywają się jej konwencje, jedno wszakże pozostaje niezmienione: nie przestaje być językiem władzy i językiem ideologii, która – choć już nadkruszona – przyznaje sobie pozycję szczególną. A więc ów sekretarz może się wypowiadać z równym powodzeniem w stylu eklezjastycznym, co w stylu kapitalistycznego menadżera, z równym zapałem w stylu liberała, marzącego o wolnej konkurencji, co w stylu socjaldemokraty. I tutaj sprzeczności

nie powstają, język ten bowiem w całości, w każdym swym wymiarze, jest krańcowo nieautentyczny, jest sztuczną stylizacją, w której wszystko łączyć się może ze wszystkim. I właśnie kampania wyborcza – powtórzmy – ukazała właściwości tego języka ze szczególną dobitnością. Kandydaci partyjni – i zwłaszcza przypartyjni nieustannie udawali, że są kimś innym, niż są – i odpowiednio do tego rodzaju zachowań mówili. Nowomowa weszła w stylizacyjne, ze swej istoty pasożytnicze stadium rozwoju. I ją także objęła wielka przebieranka³.

Tak pisze autor moich teoretycznoliterackich lektur. Pewnie ma rację.

5.3.0. Rebelianci zwyciężyli. Nigdy bym się tego nie spodziewał. Z więzienia za Okrągły Stół (gdzie Kiszczak, szef naszego NKWD, wymienia uprzejmości z Michnikiem, legendą opozycji, jękającym się trybunem ludu), później do Senatu, Sejmu, rządu. Naszego rządu. (Chociaż ONI ciągle mają wojsko, policję i znaczną część informacji). Brodaci (no, nie wszyscy – licentia sovietica) chłopcy, w swetrach, z torbami, chlebakami przewieszonymi przez ramię. No, nie wszyscy. Międzynarodówka dysydentów. Zawodowi kontrtotalitaryści, niezależni intelektualiści, uświadomieni klasowo robotnicy – z chłopami trochę gorzej. W sumie bardzo to ładne. Szkoda, że mnie przy tym nie było.

5.4.0. Zwyciężył Orzeł Biały. Zwyciężyła polska brać. I krzyż. Tylko pod tym znakiem Polska jest Polską, a Polak Polakiem. I już.

6.0.0. Ostał nam się ino Prezydent. Polski Pinochet, mąż opatrnościowy, hieratyczna figura z sowieckiego wosku. Gwarant ciągłości władzy, relikwium umarłego systemu. Jaruzel. Generał. Premier. Pierwszy Sekretarz. Prezydent. Wszystkich Polaków. Tak mówi. I nie wysiada z czerwonego tramwaju na przystanku Niepodległość. Jak Piłsudski. A gdzie ten tramwaj? Jaruzelski musi odejść. Tak mówią. Coraz częściej. Różni.

6.1.0. Kto jeszcze znaczy? A raczej kto przede wszystkim znaczy i jest znakiem, symbolem, dyskursem, tekstem, instytucją? Wzorcowym modelem – amerykańsko-sowietkim – kariery – awansu człowieka z ludu, który osiąga szczyty. To TEN. Zapasiony, bywasty elektryk z ryngrafem Matki Boskiej Częstochowskiej w klapie nienaganego (ponoć) garnituru. Stale ten ryngraf. Reszta fakultatywna. Nobel – koniunkturalny, rzecz jasna. 19 doktoratów honoris causa – też. Idźże, chamlu, na swoje miejsce. Bo nie pasujesz. Albo zostań prezydentem. Polskiego – katolickiego – socjalistycznego LUDU – Narodu. Prawicowo-narodowego w planie wyrażenia i zdecydowanie lewicowego (by nie powiedzieć, horror, komunistycznego) w planie treści. „Mówicie, że teraz są nowe świny w starym korycie. Ale są to nasze świny” – mówi Lech do ludu bożego zgromadzonego na mitingu przed kościołem św. Brygidy w Gdańsku. Nasz Bonaparte,

³ Michał Głowiński: *Wielka przebieranka*. „Kultura Niezależna” 1989, nr 54, s. 16.

Święty Proletariusz dość często spotyka się z różnymi grupami wyzwolonego narodu: Polakami stoczniovcami (kolejarzami, górnikami...), Polakami-studentami i Polakami-profesorami, Polakami-milicjantami i Polakami-więźniami politycznymi (byłymi) oraz Polakami-mniejszościami narodowymi. Ma już opanowany taki trójtakt:

1. Najpierw Lech daje ostre wprowadzenie z mównicy, sypiąc „wałęszizmami” rodzaju: Ta rewolucja jest pomieszana z poplątaniem; w sprawę chleba czy kiełbasy nie mieszajmy patriotyzmu; jak zaistnieje potrzeba, będę pełnił każde stanowisko, włącznie z hyclem (gdym się namnożyło za dużo psów).
2. Potem następują pytania z sali, na które „wódz” odpowiada ze swadą, podkreślając „pluralizm” – swoje ulubione od dłuższego czasu słowo. Bawi się nim, wypychając we wszelkie konteksty [...].
3. Miting-konferencja Przewodniczącego [...] kończy się zawsze tym samym wezwaniem: Niech podniosą ręce ci, którzy popierają mój program⁴.

Intertekstualność w dyskursie Wałęsy. Arche-, proto-, metateksty w jego tekstach. On jako tekst. Odbiorca wirtualny w pamiętnikach Przewodniczącego. Tradycja romantyczna w „Pismach zebranych” Lecha Wałęsy. Czemu nie? Skoro formalisci mogli o Leninie. Lechu. Wszyscyśmy z Niego (jak z Mickiewicza). „Znajdzie się decha na dupę Lecha” – skandują nasze wnuczeta Stalina, dla których nie ma nic świętego.

6.1.1. A ja uwielbiam Jacka Kuronia. Ministra. pracy, płacy i spraw socjalnych. Plebejskie, zwaliste ciało. Mówi po ludzku. Całym sobą. Komandos (tak mówiono o studenckich rebeliantach z 68 roku) i kamikadze (teraz). Delikatne ręce rzeźnika. Chirurgia społeczna. Bez znieczulenia z systemu w system. Z etapu przejściowego w etap przejściowy. Organizujemy się. Pomagajmy sobie samym i tym najbardziej bezbronnym. Jedziemy na Zachód. Dziś. Wszystko przed nami. W naszych rękach. Wozy pionierów grzęzną w utartych koleinach, świszczą strzały Czerwonych. Na popasach rozdajemy darmową zupeę. I sprzedajemy odzież za symboliczne sumy. Kuroń. Garnitur opinający King Konga w Sejmie i normalna (nasza, generacyjna) dżinsowa bluza podczas cowtorkowych spotkań w TV. Bo to on jest w gruncie rzeczy rzecznikiem rządu. Póki co. Tako rzecze Jacek Kuroń. Słuchają go i lubią. Póki co. „Kuroń na zupeę” – mówią najmłodszy. Fakt, jest z czego.

6.1.2. Bo ta pani. Taka śliczna i blond słowiańska. Europejska i kokietyryjnie kobieca. Zamiast tego obleśnego, łysiego cynika z ogromnymi uszami Urbana. (Tss... zbolszewizowanego Żyda). A ona – Niezabitowska (czy z tych właśnie...? Kolegium Heraldyczne w Lublinie wyjaśni ci twoje pochodzenie. Za umiarkowaną opłatą otrzymasz wyciąg z drzewa genealogicznego) – kosmetyki, fryzura i imponderabilia. Jesteśmy wreszcie

⁴ „Tygodnik Gdański. Solidarność”, 1990, nr 9, s. 13.

we własnym domu. Kochamy WOLNOŚĆ, nawet o chlebie i wodzie. Jest piękna Małgorzata. A mistrz? A szatan?

6.1.3. Nasz premier. Chrystus Frasośliwy – Mazowiecki. Chleb nasz powszechni – coraz droższy. Smutny tak, że aż Bogu smutno (Norwid, chyba). Europejski, plebejski (sypiał z nami w czasie strajku na styropianie w stoczni). Polsko-katolicki, ale ładnie. Jak... Mazowiecki po prostu. Osobisty przyjaciel naszego PAPY. Rozmawia z Gorbaczowem (a SOWIECI ciągle w naszym domu), całuje się z KohlemJudaszem (a NIEMCE idą, idą, idą), wstąpił za ocean do Wielkiego Ojca z Białego Domu – pokochali nas obrońcy wszechświatowej demokracji. I może wreszcie coś dadzą. Bo przecież podpisaliśmy cyrograf. Piszemy go na co dzień. Naszą krwawicą. Prawicą i lewicą. Bo wszyscy kochamy wolny rynek i sprawdzone sposoby gospodarowania. Werbalnie.

6.1.4. Pan Balcer w Brazylii (nieudany poemat Konopnickiej o naszej emigracji – udanej? na antypodach. Zachodni ekspert – Sachs – uzdrawiający gospodarki państw Ameryki Łacińskiej. Tłumienie hiperinflacji. Wzorzec). Pan Balcerowicz w Polsce, Rzeczypospolitej, Najjaśniejszej. Wolnej. Plebejskiej. Roszczeniowej. Sprawiedliwej. Ogolony okularnik w garniturze. Zimny. Nie udaje przyjaciela ludu. Boa dusiciel inflacji (to marny koncept, ale nasz kabaret nie bardzo może się odnaleźć w naszej, mniej binarnej, sytuacji). Nasz szatan. Demon ruchu, przedsiębiorczości i wolnej konkurencji. Bezrobocia. Kontrolowanej (?) nędzy. Jest wolność – nie ma, nie powinno być równości. Ale wszyscy mamy takie same żołądki. A kultura? Oświata? Prawo do pracy? Opieki nad zdrowiem? Wczasów i wyczasów? Życie udane (ale po życiu tej generacji), a nie udawane. Realny socjalizm i nierealny kapitalizm. Gdzie jesteś średnia klaso? Któż to obróci koło zamachowe gospodarki? Z lewa na prawo? Ze wschodu na zachód? Albo gdzie indziej?

7.0.0. Kto Ty jesteś – handlarz mały. Jaki znak Twój – Orzeł Biały (Bełza, *Katechizm dziecka polskiego*, 1900). Polska przedmurzem Europy. Było. Polska Mesjaszem. Polska Winkelriedem. Polska nierozzerwalnym ogniwem wspólnoty socjalistycznej. Było i było. Jest. W najróżniejszych konfiguracjach i kontekstach. Obywatel (wolny – tak jak tylko Bogu wolno) Rzeczypospolitej iluś tam narodów (szlacheckich, rzecz jasna), Polak – katolik (a niewierni różni – protestanci, muzułmanie, prawosławni, rewolucjoniści różnej maści – dekabryści, socjaliści, komuniści), Polak – kondotier w walce o wolność naszą i waszą (socjalną, narodową, abstrakcyjną). Polaczek, Polacyszka, Pan – Polak. Bród, smród, ubóstwo. Duma, godność, honor. Szlachectwo i cwaniactwo. Cwane szlachectwo. Szlachetne cwaniactwo. Gordyje Polki, które rozkładają uda za kilka dolarów, rycerscy Polacy z pętem krajowej kiełbasy w rękach na wszystkich możliwych bazarach Europy, Azji i świata. I znowu uwikłałem się w binaryzm. W stereotypy. W podświadomą wiarę

(antywiarę) w wyjątkowość. Naszą. My. Historia. Mity. Język. Bytowanie. Ja, który patrzę. Piszę. Nie lubię. Mam prawo?!

7.1.1. O tym, co widzę. Chyba mam. Chociaż się boję. Nigdy nie byłem za odważny. Potrzebowałem wiary. Religii. Systemu. Porządku rewolucji. Książkowej. Odbytej. A tu nowa. Nie do pojęcia. Chyba dla nikogo. Chociaż różni (i u nas, i gdzie indziej) udają, że rozumieją. A co to znaczy rozumieć. Nauka. Nauka o literaturze. Kupa śmichu. A nie? Uciec. Pies. Klasycy literatury. Seks. Elementarne wartości i własności. Ziemia. W skrzynkach i doniczkach. A w nich zioła. Czarnoksiężskie. Parapsychologia. Magia. Cuda. Katolicyzm. Cud nad Wisłą. Kolejny. I znowu we własnym domu. Spółdzielczym. Jedni nad drugimi. I odwrotnie. Znowu zalaliśmy sąsiadów z ósmego. A oni właśnie zmienili tapetę w łazience i kiblu ze względu na zbliżające się święta Wielkiej NOCY – zmartwychwstania Chrystusa. Czasu mycia okien, trzepania dywanów, malowania po polsku kosmicznego jaja (semiotycy-Rosjanie).

7.1.2. Kupowania. Jak zwykle, ale intensywniej. „Bazar, bazar, baran” (Białoszewski) – totalna azjatyzacja handlu. Jednak novum. Mięso tańsze niż w postkomunistycznych normalnych sklepach. Na chodniku, na starej „Trybunie Ludu”, na stoliku turystycznym, kłapie malucha (fiata 126p, samochodu powoli nieosiągalnego dla Ludu), z otchłani ogromnej TIR-owskiej ciężarówki. Stragany, straganiki, straga... Książki, buty, podkoszulki, koszulki i inne ciuchy, czekolada, kawa, ananasy, guma do żucia, spirytus i gorzała – głównie RPN-owska, kasety, radia, radiomagnetofony, video. Handlujemy, póki czas. Bo już niebawem nam zabronią. A co do broni. Bo coraz niebezpieczniej. Szlachetni moralisci z szeroko rozumianego kręgu Solidarności wypuścili kryminalistów. Bo nowa Polska, która przebacza. Ale nie daje ani pracy, ani mieszkania. Gdyby ktoś na przykład chciał znormalnieć. Recydywista gwałci niemowlę. Biją, rabują, gwałcą. „Pomóż milicji – bij się sam” (graffiti). Albo kup sobie za drobnym milion colt gazowy. Najlepiej nie wychodzić z domu. „Panie, weź pan tego skurwysyna, bo go kopnę...” – to o moim psie. Który przecież kocha cały świat. A we mnie tyle nienawiści.

7.1.3. Najlepiej nie wychodzić z domu. Upić się importowaną wódką (NIEMIEC nas rozpija), czytać gazety i oglądać telewizję.

Korona na głowie orła białego to przedmiot nieledwie magiczny. Tak to się dziwnie w naszych losach splatało, że kiedy państwo stawało się bardziej zależne od obcych potęg, korona zniknęła. Mieliśmy wówczas orła przypominającego kurę, a nie drapieżnego ptaka⁵.

⁵ „ABC. Pismo śląsko-dąbrowskiej Solidarności”, 1990, nr I, s. I.

Ot, ciekawostka historyczno-ornitologiczno-mistyczna. „Przy pomocy Waryńskiego [prekursor polskiego socjalizmu, nazwa dżwigu –T.S.] robieramy Dzierżyńskiego”⁶. „Lenin, tu masz buty – i spierdalaj z Nowej Huty” (akcja artystyczno-polityczna). Porządkujemy pejzaż. Semiotyczny. Znikają pomniki, znaki, symbole. Eliminacja, modyfikacja, powrót znaku. Permanentna semioza. Najjaśniejsza Rzeczypospolita, orzeł w koronie, Bóg, honor, ojczyzna. Kościół, rodzina, własność prywatna, naród. Stalin i komuniści gorsi od Hitlera i faszystów, Katyń ważniejszy od Oświęcimia.

7.1.4. Rewolucja i restauracja. Orłowi koronę! Kościół do szkoły! Bolszewicy do kostnicy! Czołgi do Wołgi! Sowietci do domu! Rosjanie nie, Rosjanki tak! Fabryki fabrykantom! Ziemia ziemianom! Sklepy sklepikarzom! Kamienice kamienicznikom! Wałęsa prezydentem! Lech Wałęsa kupa mięsa!

7.1.5. Nie było PRL-u. Koszmarny sen totalitaryzmu. Mnie też pewnie nie było. Jest pies. Woda, powietrze, ziemia, ogień też jest. I papierosy.

7.1.6. No i paaaszli. Oni są wszędzie. Ci z NKWD, czy jak im tam. Nie pozwalają mi pisać. Albo oni, albo ona. Gorzałka, słowiańska matuszka, pocieszycielka strapionych i zgubionych. Jak ta 10 strona. To oni mi ukradli 10 stronę. Oni wpędzili mnie wraz z moim psem w jakieś nocne ścierwo. Nie wiem, kto się pierwszy ścierał, cierał, wcierał – ona czy ja. Śmierdzimy oboje. Ona to lubi – więc śpi spokojnie. Ja śmierzę. I piszę utraconą 10 stronę. W bełkocie swoim i cudzym. W delirium. Literaturoznawcza liryka. Moje dziewczyny. W grupach seminaryjnych. Ładne. Miłe. Mądre – rzadko. Nie wiedzieć czemu, nic z seksu. Ginekolog. Intelktów. Dopustim...

7.1.7. Mój mózg – umysł – duch jest awangardą mojego ciała. W obrębie mojego mózgu funkcjonuje POP – Podstawowa Komórka Partyjna. I te nudne dyrektywy – partyjne. Kantowskie, Kartezjańskie, niebo gwiazdziste i prawa moralne. Myślące trzciny, które ogarniają. Byt, który coś określa i jest określany. Widmo, krążące po Europie i świecie. No i trzeba BY jeszcze coś przeczytać. Ale ta i tamta. I tyle dziewczyn dookoła. I ta. Podstarzałość. Ejże. NO. OHO. Udało mi się coś powiedzieć o Mironie Białoszewskim. Publicznie. Z sensem, ale dekonstruująco. Za mało czytam. Znowu – nie to, co powinienem. Znowu nie tak – nie ta ojczyzna, nie ten kraj, nie ta przestrzeń (góry, jeziora, jeziora!), nie ten naród (Żydzi, cykliści, rude i inne), nie to państwo, nie ten system, nie ten świat.

8.0.0. Mój Boże, w którego nie wierzę. Nie da się tego i siebie w tym opisać. Można próbować. Próbowałem. Będąc ZA, będąc PRZECIW, czytając, oglądając, srając (tak!),

⁶ „Gazeta Wyborcza”, 1990, nr 137.

kopulując, kochając, nienawidząc. Akty i fakty. Rymofilstwo (Białoszewski). Co jest? Deszcz. Ja. Ciągłe śmierzący pies. Bożena, która czyta i ma uwagi. I tekst. Tekst?

9.0.0. Oni są wszędzie. W naszej historii, kulturze, literaturze, polityce, obyczajach. W radiu i telewizji – ostatnio. Od urodzenia do śmierci. (Hospodi, partyjny pogrzeb mojego ojca. Czerwone sztandary, Międzynarodówka, nowomowa nad grobem. Ja bez łez, przeciw Bogu, Kościołowi, śmierci. Płyta nagrobna z różą. Zamiast gwiazdy lub krzyża. Bo matka tak chciała. I ja na jej świeckim pogrzebie w roli księdza. Sam i mniej pewny). Nasz papież. Leczący polskie i ogólnostowiańskie kompleksy. Nasz męczennik, niebawem święty – ksiądz Popiełuszko (nazwisko jak z Kabaretu Starszych Panów). Symbol walki z Imperium Zła, ofiara totalitaryzmu. Który niebawem będzie miał kilka pomników, szkół, ulic itp. Beatyfikację i kanonizację. Trafił w swój czas. (Totalny zaiste był idiotyzm chłopców ze Służby Bezpieczeństwa. A nasza policja polityczna będzie się teraz nazywała Urząd Ochrony Państwa. A nasza Milicja Obywatelska – Policja Państwowa. A społeczeństwo będziemy mieli obywatelskie. Demokratyczne i pluralistyczne. Jeżeli oczywiście najpierw zlikwidujemy problem narkomanów, chorych na AIDS, kobiet robiących skrobanki, Żydów, masonów, Arabów... INNYCH. NAJLEPIEJ FIZYCZNIE). Oni. I ten ich dyskurs:

Zgorszeniem, głupstwem i przedmiotem nienawiści jest krzyż Chrystusowy w oczach wyznawców materializmu dialektycznego. [...] Komuniści dobrze wiedzą, że ich przeciwnikami nie są kapitaliści, politycy oraz potęgi militarne, lecz wierzący w Chrystusa, jedyne Zbawiciela świata. [...] Na początku tego wieku we Wrześni młodzież wystąpiła w obronie kultury polskiej przed germanizacją. Podobnie głośnym stał się Garwolin, gdzie uczniowie zaprotestowali, gdy władze nakazały zdjęcie krzyża ze ścian klas szkolnych. [...] W dramatycznej walce ateizmu z katolicyzmem pewien procent członków narodu stanął po stronie przeciwników krzyża. [...] Garwolin to próba sił między materializmem wojującym a wiarą i światopoglądem zrodzonym z przeżytej i przemyślanej Ewangelii. [...] Imperium komunistyczne rozszerza się, nie drżąc przed żadnym wrogiem. Strach odczuwa tylko przed krzyżem i przeciwko niemu wznosi swoją świętynię, w której oddaje cześć materii...⁷

Co najpierw – katolizacja bolszewizmu? Bolszewizacja katolicyzmu? Kreolizacja kodów. Religia. Polityka. Ekonomia. Erotyka. Reklama. Podstawowe przestrzenie semiozy.

9.1.1. Witryny Komitetu Obywatelskiego Solidarności w Sosnowcu. Znowu Komitet. Polityczna emanacja tego bardzo dziwnego związku zawodowego. Lokal po sklepie tekstylnym, o ile pamiętam. Plakat-grafika przedstawiający kobrę z głową i okularami Jaruzelskiego i podpis „szatańskie wersety”. Komunikat o decyzji Miejskiej Rady Narodowej (z inicjatywy KO „S”) o zmianie – przywróceniu przedwojennej formy – nazwom

⁷ Ks. Jerzy Mirewicz, T.J., „Niedziela. Tygodnik Katolicki”, 1990, nr 8, s. 1–5.

ulic. 22 LIPCA (data powstania PRL) będzie teraz 11 LISTOPADA (1918 – data powstania międzywojennej Polski). Pryncypialna ulica CZERWONEGO ZAGŁĘBIA – będzie ALEJĄ JÓZEFA PIŁSUDSKIEGO, ulica ZMP (Związku Młodzieży Polskiej – takiej bardziej komunistycznej) będzie ulicą LEGIONÓW (niepodległościowej formacji wojskowej wyżej wspomnianego J.P.). A że ulica Bieruta (pierwszy prezydent Polski po II wojnie, agent NKWD, rzecz jasna) stanie się ulicą KOŚCIELNĄ – to chyba oczywiste. Wewnątrz sprzedają gazety Solidarności. Tej jedynie słusznej. Wałęsowskiej. Solidarnościowi dysydenci (a są – np.: „Solidarność 80” Mariana Jurczyka, której nie bardzo podoba się wolny rynek; „Solidarność Walcząca”, ciągle konspiracyjna, bo za dużo komunistów; i grupki młodych – niezidentyfikowanych obiektów politycznych) nie są tu sprzedawani. Jest krzyż w miejscu centralnym. Dewocjonalia – znaczki Solidarności, odznaki i odznaczkę, kilka wariantów orła w różnych koronach.

9.1.2. Naprzeciw(ko) na dużej przestrzeni kłębówisko kupująco-sprzedające. Bazar. O tym już wcześniej (7.1.2.). Nóż sprężynowy można kupić i ostatnie hity wydawnicze. Kulinaria. Encyklopedie. Słowniki polsko-zachodnie. Kryminały. Sensacje. Senniki. Porno.

9.1.3. W Księgarni Akademickiej obok mniej więcej to samo. Przewodnik po lesie katyńskim i Słownik demokracji. Rok 1984 i Emanuelle. Pamiętnik chińskiej kurtyzany i wspomnienia Jacka Kuronia. Ostatnie wydanie encyklik Jana Pawła II.

9.1.4. W kinie. Też obok. Mnóstwo ludzi na konfrontacjach – przegłdzie tego, co niby najlepsze w filmie na świecie. *Seks, kłamstwa i kasety video*. Puenta. Powiedzmy.

9.1.5. Każdy może. Jeśli chce. Kupić sobie. Jeśli ma. Wszystko można. Wszystko wolno (?). Tylko za co? I ty zostaniesz menadżerem, i ty zostaniesz posiadaczem („majątku trwałego lęku” – znowu wczesny Barańczak), i ty zostaniesz socjaldemokratą (2–5 wariantów do wyboru), demokratą, tatą, mamą, dzieckiem, psem. Prawda. Godność. Praca. Wspólnota. Srała baba z mostu, trzymała się ostu. Oset ją pokolił, chłop ją wypierdolił. Można o oście. Można. O babie, o chłopie, o moście też. Można. Trzeba? Jeszcze i jeszcze. Niekończąca się historia. I histeria. A w maju wybory. To może poczekać? Aż się uleży.

9. 10. 11. 12. 13.

Suka wygrała. Wstaję od maszyny i wychodzimy się przejść. Po naszych – już śląskich, bo za graniczną onegdaj rzeką Brynicą – jeziorkach. Dzikie łąki, trochę drzew, dziury (duże) po piasku do kopalni, zalane wodą. Górnicy-wędkarze zarybili, sitowie i trzciny wyrosły, przyleciały dzikie kaczkę, coś w rodzaju mew i inne ptaki. Trafiają się nawet

kuropatwy i zające. I myśliwi. Chodzimy, biegamy. Jest słońce i nawet nasze blokowisko wygląda ładnie. Wieje ostry, rebeliancki wiatr, na wodzie stroszą się grzywki fal. Natura. Próbuję siebie sobie poukładać. W języku. W świecie. W teorii i praktyce. Mowy świata. Świata mowy. Nie jestem sam. Znudzona suka, myszkująca dotąd w sitowiu, łapie za kieszeń kurtki, gryzie buty. Rzucam jej patyk, przynosi, wrywamy go sobie, biegamy. Biegając, wracamy. Dwa setery irlandzkie. Orgia biegania. Jej. Właściciel – sąsiad – anonimowy. Tych seterek. Rozpoznawalny przez psy i rozmowy. (Suka rozszerza moją przestrzeń społeczną – to fakt). O psach i rzeczywistości. Ogólnie z branży (politolog chyba?) i z lewa. Łysieje, korpulentny, ale biega. Wszystkich zna. I wszystko. Co u nas? Liberalizacja, jednak wyrzucają tylko adiunktów 9+5 (czternaście lat na habilitację – i jak nie żałować tego systemu). Reszta zostaje (i ja, i ja też). Asystentów sprawdzają. Tak, wszyscy docenci zostaną profesorami. I pewnie będą blokować. Młodszych. A co u nas? Na osiedlu? Też wyszedł wcześniej z wyborczego zebrania Sosnowieckiej Spółdzielni Mieszkaniowej (trwało od 17.00 do 2.00 w nocy – jak demokracja, to demokracja). Żydzi na liście OKP (Solidarności). Ten adwokat. A o nim – tym od seterów – mówili, pamiętam: „Ten pan był lektorem KW (znaczy komucha). Chcecie mieć tu towarzysza?”. A on (ten od seterów) mówi księdzu: „że popiera Żydów” i on (ten ksiądz – nasz proboszcz) tę listę z Żydami zdjął. Na dwa dni przed wyborami. Z tablicy ogłoszeniowej kościoła. I już. A i tak trzeba zrobić secesję części spółdzielni. Mniejsze jest piękniejsze. Związek Komunistów Rzeczypospolitej Polskiej „Proletariat”. Egzotyka. Robi to ten Zieliński. Tak, ten od „Trybuny Robotniczej”. Beton (skrajna konserwa postkomunistyczna) na emeryturze. Dziesięć, dwadzieścia osób, Kanapowa partia – jak większość teraz. Folklor. A Socjaldemokracja RP (przemalowana PZPR – mówią) ma już jakieś 60 tysięcy. Sami nas tam pchają. Fiszbach się wygłupia. Wojtek (Jaruzelski) przeszedł najgorszy okres. Psy się bawią, moja włócząc brudno-czerwoną smyczą, próbuje wziąć pod siebie młodszą seterkę. Tarzają się wśród staro-nowej trawy, zardzewiałych puszek, butelek, szkła, śmieci. A Kopariski? Tak studiowaliśmy. Ten lewak? Maoista? Bardziej guevarysta. Potem tak ostro w Solidarności. Te jego teksty. Tak, przymknęli. Ale wcześniej ta żona – Palestynka. Był na stypendium w Iraku. Stąd – ona. Przysięga w meczecie, że nie ŻYD?! A Żyd. Nasi donieśli. Braciom Palestyńczykom. Którzy też przysięgali. Byli w Stanach. A w Australii go dopadli. Niesamowite.

Jesteśmy już koło solidnego ogrodzenia naszego osiedlowego ZESPOŁU DOMÓW BOŻYCH (dom księdza, barako-kaplica, miejsce pod kościół). Przechodzimy na ty. F... G... H... -eniek, -oniek, -asiek... wyciąga zza pazuchy starej, ortalionowej kurtki (specjalnie na psie spacer, jak ja) zmięte kartki. Format A-5, powielacz. Jakbyś chciał, to powiesz w swojej klatce. Dobra, ale po cichu. Wiesz, jak teraz jest. Na razie nigdzie nie wstąpię. No jasne. Psy dyszą, ale nie mają dość. Starsza seterka jak zwykle zachowuje dystans. Łapię moją. Żegnamy się. Czytam:

Jeśli jesteś za: ...

Jeśli jesteś przeciw: ...

Jeśli chcesz: ...

TO PRZYJDŹ DO NAS.

RAZEM ZNACZYĆ BĘDZIEMY WIĘCEJ!

Wracam. I, 2, 3, ... 9-te. Bożena poszła na stypę. Ojciec chrzestny umarł. Piję 100 gram wódki Rasputin. This Vodka has been manufactured to an old russian recipe. Distiled for real Hamburg. Tel. 373430. Telex 2165468. 50% vol. Znowu w Euroazji. I dobrze.

Wszystkie słowa, osoby, sytuacje miały i mają miejsce w tak zwanej rzeczywistości. Autor bierze pełną odpowiedzialność za całość. Na barana, barabana. Copyright by TOMASZ STĘPIEŃ i. Wszelkie prawa... przerobimy na lewo. NAS – ktoś tam zawsze przygarnie. I dalej, dalej...

I co? Drukujemy TO?!

październik 1989–kwiecień 1990⁸

⁸ Pierwodruk: „Znakolog” 1990, nr 2, s. 191–205.

Było i było. I będzie dalej

Te wynurzenia tytułem nawiązują do poprzedniego tekstu, autorstwa Tomasza Stępnia. W artykule, który ukazał się w 1990 roku w „Znakologu”, autor ujawnia swoje pomieszanie różnymi, nie zawsze jasnymi donosami rzeczywistości. A mogło się wydawać, że wtedy już wszystko było poukładane.

Nie było i, jak się zdaje, nie jest do dzisiaj. I pewnie już nie będzie.

Na te wszystkie wątpliwości usiłujemy sobie jakoś odpowiadać. Pytając także, czym różniliśmy się kiedyś, stając przed jakimiś wyborami, mniej czy bardziej realnymi. Czy w jakikolwiek sposób lepiej czy gorzej mają ci, którzy jakichś wyborów dokonują dzisiaj? Nie wiem. Trochę im nie zazdroścę.

Owszem, bywa mi głupio, gdy rzucam studentom jakąś kulturową aluzję, której po prostu nie łapią. Czy jednak powinni? Czy muszą?

Stała się jednak w międzyczasie rzecz osobliwa. Otóż wysoki urzędnik państwowy 2 lutego 2014 roku w audycji telewizyjnej „Tomasz Lis na żywo” przyznał, że obecny system państwowy (a pracowała na to cała ekonomiczna i polityczna formacja liberalna w zasadzie od początku polskiej transformacji końca lat 80.) nie ma żadnej oferty dla młodych ludzi.

Traktuję to jako osobliwość nie dlatego, że tak jest w istocie, tylko dlatego, że dotąd nikt tego w Polsce nie mówił. Media ekscytowały się tym samym problemem w innych państwach, szczególnie południowoeuropejskich, w Polsce – jak się zdaje – panowało złudzenie, że nas to nie dotyczy, tak jakby liberalizm nie czynił podobnych spustoszeń wszędzie, gdzie tylko się zagnieździł. Zresztą nie jest jakąś specjalną rewelacją to, że narracje dotyczące stosunków pracowniczych w Polsce, a te powinny najbardziej interesować ludzi, którzy chcą wejść na rynek pracy i po to między innymi studiują, są zdominowane przez organizacje pracodawców. Wśród nich niemało jest takich, którzy w niezgodzie z rzeczywistością głoszą (po prostu kłamią), że Polska uniknęła głębokiego

kryzysu tylko dzięki temu, że utrzymywała rzesze pracowników, szczególnie młodych, na śmieciowych umowach. Dobroczyńcy się znaleźli! No ale co oni mają mówić?

W doniesieniach prasowych, których wiarygodność zawsze wzbudzała moje podejrzenia, napotkałem takie oto sensacje: „Młodzi są roszczeniowi, rozpieszczeni, przyrośnięci do smartfonów. W pracy zadzierają nosa i niewiele potrafią. Prawda czy fałsz?”¹.

Ani prawda, ani fałsz. To się opiera na jakichś badaniach nawet. Z żadnych jednak badań nie da się wyprowadzić przyrośnięcia do czegośkolwiek. Z tych przywołanych w „Gazecie Wyborczej” wynika zresztą, że pod wieloma względami nic się za bardzo nie zmieniło. Młodzi ludzie sporo pracują, by zapewnić sobie możliwość opłacenia edukacji. Kiedy ja studiowałem, nie było płatnych studiów. Pracy dla studentów było niewiele, system stypendialny był bardzo zsocjalizowany. Jakoś można było żyć i studiować, trochę przy pomocy rodziców, trochę za stypendia, trochę także dzięki pracy, szczególnie wakacyjnej. Studia w równej mierze uczyły umiejętności twardych i miękkich, pod tym względem nic się nie zmieniło. Że absolwenci studiów wszelakich mają słabe zawodowe umiejętności, to austriackie gadanie. Studia raczej nie były i nie są od tego, by uczyć zawodów, bo od tego były kiedyś tzw. zawodówki. Aspiracje do wykształcenia mieli wszyscy podobne, w jakiejś mierze zależały one od rodzinnego i społecznego środowiska, za to dostęp do studiów był zdecydowanie bardziej ograniczony. Języków niezbyt się uczyliśmy, bo z ich znajomości nie wynikała żadna korzyść praktyczna. Nie bardzo mieliśmy dokąd wyjeżdżać. Jak się okazuje, było to straszne, ale równie straszne jest to, że dzisiaj młodzież zdecydowanie lepiej od nas posługuje się językami i chce wyjeżdżać. A bywa, że musi.

Ja sam jestem produktem tzw. realnego socjalizmu. Urodziłem się w szczytowej fazie stalinizmu, który usiłował zagospodarować przede wszystkim naszą świadomość, ekonomicznie bowiem nie miał nic do zaoferowania (poza rozbudowę dla celów zbrojeniowych przemysłu wydobywczego i ciężkiego, czego błogosławione skutki mamy do dzisiaj w postaci stalinizmu odziedziczony przez tzw. działaczy związkowych głównie w przemyśle wydobywczym; to bardzo spóźniony chichot socjalizmu). Nie potrafię jednak ocenić, czy to dobrze, że urodziłem się właśnie wtedy. Z jednej strony żyłem w czasach naprawdę ciekawych. Ale myślę o tym bez satysfakcji. Czasem opowiadam studentom, że nie czytałem w dzieciństwie i młodości lektur bezwartościowych (traktując „bezwartościowość” umownie). Bo ich po prostu nie było. Literatura popularna była niedostępną rzadkością. Starłem się gromadzić i czytać choćby komiksy. Kilka przynajmniej razy stałem się ofiarą własnego upodobania. Przytąpany na podczytywaniu

¹ Marta Piątkowska: *Portret młodego Polaka*. „Gazeta Wyborcza” 16.02.2015.

pod ławką (szkoła była jednym z miejsc transakcji, w wyniku których można było wejść w posiadanie czegoś fajnego) byłem karcony, ciągniony za ucho, moje zainteresowanie komiksem piętnowano jako przywiązanie do literatury bezwartościowej. „Jak można to świństwo czytać i oglądać?!” – wykrzykiwały panie polonistki, po czym konfiskowały i niszczyły moje książeczki z najgłębszym obrzydzeniem, jednak nie dlatego, że konfiskata jako taka jest obrzydliwością, jeno dlatego, że bez obrzydzenia, a nawet z przyjemnością to można (a nawet trzeba) czytać Konopnicką i Żeromskiego. I wcale nie jestem przekonany, że represje te wynikały z uprzedzeń do amerykańskiej imperialistycznej kultury, bo o tym moje panie polonistki mało raczej wiedziały, a „Trybunę Ludu” czytały rzadko i niechętnie.

W ogóle szkołę uważałem i uważam nadal za miejsce opresyjne. Absolutnie katastrofalną jej wadą jest to, że polega ona na przymusie, przymus natomiast jest mi niemiły. Na zakończenie szkoły pozwoliłem sobie na niewielką kontestację i odmówiłem udziału w balu maturalnym, ten zaś w odróżnieniu od naszych czasów był zdecydowanie ważniejszy niż studniówka. Jeśli dostrzegałbym w tej instytucji coś fajnego, to tylko to, że tam się miało koleżanki i kolegów. I po to warto było do szkoły chodzić. Nie było to miejsce jakiejś ożywionej wymiany myśli. Ta raczej towarzyszyła imprezom prywatnym, w domach bądź na mieście, oczywiście z udziałem alkoholu (poważne dyskusje, które miały zwykle charakter filozoficzno-światopoglądowy, nie odbywały się nigdy na sucho). Chętnie dyskutowało się np. o istnieniu bądź nieistnieniu Boga. Było to najzupełniej zrozumiałe, ponieważ w pewnym wieku staje się przed poważnymi wyborami i jakoś trzeba przygotować do tego teoretyczny grunt. Używaliśmy sprawdzonych argumentów, obecnych w takich sporach najpewniej i dzisiaj. Nie warto ich przytaczać, warto natomiast zauważyć, że nie bardzo się zmieniły.

Pierwszy telewizor zobaczyłem w wieku kilkunastu lat, niedługo zaś potem także obraz telewizyjny. Z tzw. mediów czytało się głównie gazety, ale wcale nie były one powszechnie dostępne, szczególnie te ilustrowane. Nie inaczej było z książkami. Swój egzemplarz pierwszego polskiego wydania *Ullisessa* kupiłem w bufecie Teatru Dramatycznego w Warszawie, oczywiście przez protekcję. Potem z dumą chodziłem z nim pod pachą po mieście. Drugą książką, jaką się nosiło (nie zaraz, żeby czytać), była *Gra w klasy* Julia Cortáзара.

Usiłuję sobie przypomnieć, czy walczyłem o coś lub z kimś. Owszem, w 1966 roku w okresie szalejącej w Chinach maoistowskiej rewolucji kulturalnej zorganizowaliśmy pięcioosobową demonstrację pod ambasadą chińską. Sporządziliśmy stosowną karykaturę jednego z ważnych działaczy (bodaj Lin Piao). Nasza demonstracja nie zrobiła chyba na Chińczykach większego wrażenia, natomiast wywołała reakcję funkcjonariuszy

Służby Bezpieczeństwa, którzy bezbłędnie nas wyłapali (nie była to wielka sztuka, wracaliśmy razem tramwajem), ale bez wielkich konsekwencji. Mówili, że nic przeciwko nam nie mają, ale wicie, rozumiecie...

Chyba nawet nie byliśmy za bardzo nastawieni na walkę z rewolucją kulturalną. Wielki naród chiński pewnie naszych działań nie zauważył i na szczęście nie uznał nas za swych wrogów.

Nieuchronnie jednak zbliżał się 1968 rok. W zasadzie zdarzenia dotyczące wszystkich spraw związanych z kontrkulturą, tzw. nową lewicą, paryskim majem itp., nie budziły mojej szczególnej ekscytacji. W zdarzeniach Marca '68 na Uniwersytecie Warszawskim uczestniczyłem trochę przez przypadek. Otóż pracowałem dla chleba w bibliotece Instytutu Historycznego Uniwersytetu Warszawskiego. 8 marca, gdy się rozpoczęło, miałem dyżur w bibliotece. Później przyglądałem się rozwojowi wydarzeń. Jeszcze później na prośbę kolegów, z którymi sporo się o nich rozmawiało, chodziłem i śledziłem, co się dzieje. Potem relacjonowałem, dużo komentowaliśmy. Wówczas przekonałem się, co w zasadzie oznacza, że „prasa kłamie”. Dostrzegałem też różne postawy ludzi. Szczególnie uniwersyteckich profesorów. Powiedzmy tak: odważne i mniej odważne. Nie chcę tu wymieniać nazwisk. Sam nie miałem zdania na te sprawy, uczestniczyłem bardziej z ciekawości.

Wiemy, jak to wszystko się skończyło. Jeszcze w tym samym roku zacząłem studia na uniwersytecie. Ale jesienią już było nudno. Z otoczenia ubyło trochę znajomych, co do których się okazało, że byli Żydami z pochodzenia. Szczerze mówiąc, wcześniej nie bardzo o tym wiedziałem. Nie było to dla mnie zajmujące; umiejętność odróżniania Żydów dość powszechna wśród krewnych i znajomych była dla mnie zadziwiająca i jakoś tam nieistotna. Rozumiałem tyle mniej więcej, że Żydem jest każdy, kto ma lepiej od nas. Czy czasem nie jest to dobry powód, by chcieć być Żydem?

Zresztą inne doświadczenia tego roku okazały się zdecydowanie donioślejsze. Paryski Maj zakończył się recydywą konserwatyizmu i nie przyniósł wielkich politycznych zmian. Z jednej strony było to rozczarowujące. De Gaulle obrażony na Francuzów groził, że jeśli w wyborach zwyciężą komuniści, zabraknie czerwonego wina i befsztyków. Było to wielce prawdopodobne. Gdyby wygrali, to raczej byśmy mieli niezły paszтет. Podobnie było z praska wiosną. Widać zabrakło Żydów, na których by można było wszystko zwalić.

Jedną z ciekawych konsekwencji tego wszystkiego były zjawiska kontrkultury. W dodatku u nas przyjęły one formę czegoś, co nazywało się kiedyś kulturą studencką. Choć oczywiście Marzec '68 nie był tej kultury początkiem. Raczej należało go widzieć

w okolicach połowy lat 50. i pierwszej polskiej odwilży. Tak przynajmniej wynika z obserwacji prasy studenckiej. Ale jakoś pożyło się kontrkulturę z kulturą studencką i tak zostało. Kiedy znalazłem się na studiach we Wrocławiu, wiele rzeczy było naprawdę ekscytujących. Na korytarzu budynku filologii gnieździło się kilka przynajmniej teatrów czy teatrzyków, w kłębach tytoniowego dymu snuli się poeci i krytycy literaccy. Żywo wspominało się tradycję „Agory”. Jak zawsze w takich sytuacjach jedni byli mniej, inni bardziej zainteresowani. Uniwersytet był miejscem szczególnym, nie podlegał nasilonym represjom i inwigilacjom. Przynajmniej do czasu.

Podczas studiów uniwersyteckich rozpocząłem swoją pisarską aktywność. Jeśli można to tak nazwać. Nie pisałem jednak wierszy, bo najpewniej nie potrafię. W zasadzie nie bardzo cierpiałem z tego powodu, że moja ewentualna ekspresja literacka nie mogła znaleźć ujścia, by tak rzec, pokoleniowego. Jedyne straty, jakie się z tym wiążą, to straty erotyczne, gdyż podczas niezliczonych literackich konwentykli, w jakich uczestniczyłem, zainteresowaniem pań cieszyli się wyłącznie poeci. Krytykom zostawała popijana po kątach wódeczka. W 1974 roku opublikowałem dość syntetyczny artykuł o literackiej Nowej Fali, ale zdaje się, że nikogo to nie obeszło, mimo że w zasadzie był to pierwszy tego typu tekst. Już wtedy były z nim kłopoty, bo cenzura zasadziła się na tę formację. Troszkę musiałem nad nim popracować, co kosztowało mnie kilka godzin i nieco czystej, która miała łagodzić mój na cenzurę gniew. Widać się znieczuliłem.

Pokolenie Nowej Fali więc mnie nie przygarnęło, choć przecież nie było za późno, gdyż jedna z programowych książek – *Świat nie przedstawiony* Juliana Kornhausera i Adama Zagajewskiego – ukazała się niemal równocześnie z moim artykułem. Pokoleniu Nowej Prywatności sam nie dałem się przygarnąć, bo choć z wieloma jego członkami się przyjaźniłem, to inni mnie nie lubili, gdyż w druku wyrażałem się o nich uszczypliwie. Co nie przeszkadzało w uczestniczeniu z nimi we wspólnocie, jaką były „Integracje”. To nieregularne czasopismo artystyczne gromadziło różnych ludzi, jedni byli wyleńiałymi już nieco reprezentantami „Orientacji”, inni pochodzili z generacji ponowofalowej. Wszystko to było naprawdę fajne, skończyło się jednak na początku lat 80.

Miałem także w moim życiu poważne epizody polityczne wynikające z przynależności do organizacji tzw. młodzieżowych. W latach szkolnych był to Związek Młodzieży Socjalistycznej, w studenckich najpierw Zrzeszenie Studentów Polskich, któremu przed połową lat 60. dopisano „socjalistyczne” na początku. Należałem nadto do PZPR, z czego może i bardzo dumny nie jestem, bardzo jednak zawstydzony także nie, ponieważ na uniwersytecie, przynajmniej we Wrocławiu, nie była to jakaś szczególnie krwiożercza instytucja. Nie przeszkadzało mi to kolegować się, a nawet przyjaźnić z licznymi opozycjonistami. Pochlebiam sobie, że to był również ich wybór.

Jakoś w ogóle nie przychodziły mi do głowy żadne ostentacyjne ideologizacje. Nawet wówczas, gdy zacząłem studiować we Wrocławiu filozofię, o której powiedzieć, że nie była czerwona i marksistowska, to nie powiedzieć nic. Nawet do Solidarności poniekąd bardziej mnie zapisano, niż zapisałem się sam. Przez jakiś czas należałem do owych dumnych 10 milionów członków.

Wszystko to jednak zmieniło się radykalnie, kiedy – także nieco przez przypadek – wyjechałem za granicę, dokładniej do ówczesnej Republiki Federalnej Niemiec. Uczyłem tam języka i literatury polskiej na uniwersytecie w Bochum. Straciłem wówczas więź z krajem i z natury rzeczy nigdzie już mnie nie zapisywano ani – tym bardziej – wypisywano. Kraj pogrążył się w stanie wojennym. To szczególne wydarzenie też mnie ominęło. A w zasadzie jego początkowa faza. Byłem nawet namawiany przez różnych ludzi, by dać wyraz swojemu niezadowoleniu ze stanu wojennego w Polsce, ale wydawało mi się, że niezadowolenie powinno się okazywać właśnie tam (w Polsce). Potem wyszło na jaw, że część tych namawiaczy była konfidentami (tzw. Tajnymi Współpracownikami).

Pobyt ten nauczył mnie rzeczy naprawdę ważnych. Przede wszystkim z zakresu wiedzy o komunikacji, kulturze i literaturze. Okazało się, że wszystko w zasadzie jest jakoś inaczej, niż było dotąd, albo przynajmniej inaczej, niż sobie dotąd myślałem.

Mam w ogóle niejasne wrażenie, że w wielu wypadkach robiłem coś, co jest w literaturze opisane jako kariera Nikodema Dyzmy. Na pierwszym roku studiów poszedłem za zebranie Koła Naukowego Polonistów i wybrano mnie na jego prezesa, bo – jak się zdaje – nikogo innego pod ręką nie było. Ponieważ różne obowiązki przywykłem traktować poważnie, to prezesowałem najlepiej, jak potrafiłem. Nieskromnie myślę, że z sukcesami. Kiedy w 1986 roku, miałem siedzieć w domu, bo były wakacje, miałem kaprys wpaść do instytutu (wtedy filologii polskiej, bo tam pracowałem), na korytarzu dopadł mnie jeden z jego dyrektorów i skłonił do wyjazdu do Jeleniej Góry, by zorganizować tam wysuniętą placówkę dydaktyczną. Z dyrektorami się nie dyskutuje, to zorganizowałem i trwało to kilkanaście lat, dopóki dobrzy ludzie tego nie zepsuli.

Młodość upłynęła mi więc na robieniu różnych rzeczy. Mądrych i głupich, ważnych i nieważnych, potrzebnych i niepotrzebnych. Nie byłem zmuszany przez okoliczności do jakichś dramatycznych wyborów, nie wiem przecież, czy bym potrafił się wobec tych przymusów znaleźć. Nawet jeśli te moje wybory były przypadkowe, to ich nie żałuję. Jestem przekonany, że dzisiaj młodzież robi tak samo. Należę do tej kategorii ludzi, którzy nie mają niczego młodym ludziom za złe, nawet, albo przede wszystkim, jeśli to się mieści w dość powszechnym konflikcie pokoleń. Nie myślę na przykład, że studenci są dzisiaj mniej mądrzy lub mniej wykształceni niż kiedyś. Mało tego, nie

znam poważnych powodów, by tak sądzić. Ale to nie jest pogląd powszechny, sporo bowiem jest ludzi, którzy sądzą inaczej.

Jeszcze jakiś czas temu mniemałem, że młodym trochę brak społecznej inicjatywy, że dają sobie narzucać określony porządek świata, przeciwko czemu kiedyś młodzież bardziej się opierała. Nie znam masowych społecznych ruchów przeciwko społeczno-ekonomicznemu liberalizmowi, który ma jakąś sprawność. Taką, którą nazywano kiedyś nierównomiernym podziałem dostatku. Podczas moich różnych wizyt w różnych krajach europejskich, w tym zdecydowanie bogatych, dostrzegłem, że ludzie przeszukują śmietniki w poszukiwaniu rzeczy, które – widać – są im niezbędne do życia. Wcześniej znałem to tylko u nas.

Widzę jednak pewną nadzieję, która się kryje w rozmaitych społecznych inicjatywach, choćby w tzw. ruchach miejskich. W Polsce to jakoś nowa i bardzo obiecująca, a inicjatywy te powstają na ogół w kręgach młodych ludzi. Osobiście kompletnie nie wierzę w zbawczą społeczną moc tzw. mediów społecznościowych, mimo że ekscytują się nimi nawet obiecujący opiniotwórcy. A tym bardziej nie wierzę w spontaniczność związanych z tymi mediami działań. Podczas protestów przeciwko ACTA nie skakałem, ale też nie dam sobie narzucić pomysłu, że z tego powodu jestem za ACTA. Otóż myślę, że ewolucja (czy jak kto woli – Pan Bóg) obdarzyła nas rozumem po to, byśmy się nim intensywnie posługiwali. Uniesienia zbiorowe są mi zdecydowanie obce. Owi opiniotwórcy nie dostrzegają, że dynamiczny wzrost mediów zwanych społecznościowymi tak samo służy społecznym inicjatywom równościowym, jak i kontrolującym je przedsiębiorcom, którzy zwyczajnie na tym zarabiają. A to już z równością nic wspólnego nie ma.

Bardzo dawno temu byłem świadkiem poważnych sporów filozoficznych, w których jedni twierdzili, że celem kapitalizmu jest maksymalizacja zysku i nic ponad to, drudzy zaś, że są to sprawy bardziej skomplikowane. Dzisiaj skłonny byłbym przychylić się ku tym pierwszym. Widać trzeba było tego kapitalizmu zażyć, by miewać pomysły przyłączania się do światowej rewolucji, gdyby taka się pojawiła.

Wrocław, marzec 2015

Inaczej wolni, inaczej zniewoleni. O dwu różnych pokoleniach – z perspektywy prywatnej

Pierwszy przebłysk świadomości politycznej wiąże z rokiem 1968, kiedy w tajemniczych okolicznościach zaczęli znikać moi rówieśnicy: Wojtuś S. – towarzysz dzieciennych zabaw, syn przyjaciółki mojej mamy z zamierzchłych czasów lwowskich; Hania B. – z którą chodziłam na religię; Zosia R. – sąsiadka z pierwszego piętra. Mama płakała, ojciec milczał, a ja czułam, że dzieje się coś strasznego. Rodzice moich przyjaciół nagle okazali się wrogami PRL, wręczano im bilet w jedną stronę i tak po cichu znikali z naszego życia. Wcześniej historia nie zaprzętała mojej głowy, oczywiście wiedziałam, co stało się 17 września, znałam nieoficjalną historię wyzwolenia, widziałam rozpacz mamy „skazanej na Śląsk”, ale ta wiedza nie służyła konfrontacji doświadczeń rodzinnych z wersją oficjalną. Tym bardziej nie miałam pojęcia o konsekwencjach wojny izraelsko-arabskiej. Polityką zainteresowałam się dopiero w 1968 roku, gdy kończyłam liceum, wtedy zaczęłam dopytywać starszego kuzyna i regularnie czytać „Politykę”. Właściwą edukację odebrałam nieco później – w gronie kontestujących studentów, w klubie studenckim „Pyrlik”, na letnim obozie filmowym w Mielnie, na seminarium profesora Ireneusza Opackiego, na bytomskim cmentarzu. Dzisiaj młodzi na ogół, bo przecież nie wszyscy, od polityki stronią. W demokracji tak szybko mnożą się partie, ruchy i stronnictwa, że trudno w tej mnogości mieć rozeznanie. Jak nie wiadomo, o co chodzi, to lepiej trzymać się z boku, robić swoje, nie wychylać się, ale też konsekwentnie egzekwować to, co się nam należy. Młodzi są pragmatyczni i coraz bardziej roszczeniowi. Tak zostali ukształtowani, więc trudno mieć im to za złe. My – też nie wszyscy – byliśmy raczej idealistami. Bardziej butni, gotowi do łatwych ocen, rozpolitykowani, ufający autorytetom. Takie postawy generował prosty podział na dwa obozy: po jednej stronie „betonowa” ekipa rządzących, po drugiej – społeczeństwo. Partia trzyma za gardło, „prasa kłamie”, a wszystkim żyje się coraz gorzej. W ogromnym uproszczeniu tak to widzę, próbując z dzisiejszej perspektywy zrozumieć solidarnościowy ruch studencki, pokoleniową gotowość do przebudowy świata. Po Sierpniu '80 trudno było prowadzić normalne zajęcia, bo wszyscy komentowali bieżące wydarzenia,

czytali teksty objęte cenzurą, uczestniczyli w spotkaniach z kontestującymi artystami, historykami, politykami, działaczami ruchu społecznego. Wierzyliśmy w przewodnią siłę inteligencji humanistycznej, jeszcze nie zaraził nas ideowo-poznawczy sceptycyzm. Proszę zauważyć, jak ostrożnie mówię o ideach. Po pierwsze nie mam zaufania do pamięci, „wiecznej korektorki”, porządkującej przeszłość z perspektywy „dzisiaj”, po drugie trudno mówić o ideowej jedności pokolenia. Orientacja lewicowa (komuniści czy socjaliści) proponowała program reformujący system i oddolny ruch budowania nowych struktur partyjnych, orientacja liberalno-demokratyczna dążyła do całkowitej przebudowy na podstawie wolnego rynku, orientacji prawicowej patronował Roman Dmowski, a młodzieży związanej z Kościołem Karol Wojtyła. Cokolwiek to znaczy, młodzież była ideowa, nieprzypadkowo za chwilę pojawi się „pokolenie JP II”. Na prawo czy na lewo, z Marksem czy Panem Bogiem – moje pokolenie szukało duchowego przywódcy. Moimi „idolami” byli poeci (Wisława Szymborska, Stanisław Barańczak) i politycy (Adam Michnik, Tadeusz Mazowiecki, Bronisław Geremek), „idolami” moich obecnych studentów są np. Bill Gates i Grażyna Kulczyk, nie słyszałam nazwisk polityków czy literatów. Ucząc 40 lat, obserwuję, jak zmienia się podejście młodych do tzw. idei czy programów naprawy świata. Może najbardziej przemawiają do nich ruchy ekologiczne, natomiast polityka budzi odruch niechęci. Naszą solidarnościową młodość tak zdominowały idee, że wielu ówczesnych działaczy do dzisiaj nie umie się przystosować do bieżących strategii działania. W wielu dziedzinach życia ekonomiczno-praktycznego jesteśmy tak nieporadni, że łatwo nas oszukać. Kiedy ktoś proponuje mi „dobry biznes”, zawsze odpowiadam, że ze mną można tylko stracić. Ten dowcip ma swoje uzasadnienie w realnych doświadczeniach, do czego przynaję się otwarcie, z pełną świadomością własnej naiwności i niemożności. Więcej radości czerpię z pracy „dla idei” czy dla innych niż z chałtury, która daje kasę. Często podejmuję mocne postanowienie, że teraz będę odmawiać, a jednak to nie wychodzi, dzwoni ktoś z nieinratną propozycją i znów lecę z misją. Tak zostaliśmy ukształtowani i nie da się tego zmienić.

Trudno powiedzieć, kiedy i gdzie to formowanie się zaczęło. W szkole i w domu karmiono nas romantyczną mitologią, recytowaliśmy wieszczów i Baczyńskiego, wredny Wokulski, który dorobił się na wojnie, nie mógł zostać naszym bohaterem. W moim przypadku zaczęło się w szkole podstawowej. Tak wzruszyły mnie historie w rodzaju *ABC* czy *Janka Muzykanta*, że zapragnęłam być brnącą przez śniegi, wiejską nauczycielką. Teraz oczywiście żartuję, ale nigdy nie miałam problemu z wyborem zawodu. Już jako nastolatka wiedziałam, co i dlaczego chcę robić. A nie byłam jakimś wyjątkiem, większość z nas traktowała zawód nauczyciela z nabożeństwem, a dzisiaj?... To kolejny dowód na naszą ideowość, której erupcję wywołały zdarzenia społeczno-polityczne zachodzące na przełomie lat 70. i 80., a zwłaszcza polski Sierpień. Kiedy „runęły mury” – jak śpiewał nasz bard Jacek Kaczmarski – brać studencka stanęła po jednej

stronie. Studenci wychodzili z SZSP, członkowie partii rzucali legitymacje lub budowali struktury poziome.

Pokoleniową świadomość najbardziej przeorały wydarzenia roku 1980. „O roku ów! kto ciebie widział w naszym kraju!” Dobrze pamiętam ogólnopolskie poruszenie, gorącą atmosferę zebrań zakładowej Solidarności, wystąpienia bohaterów tego czasu. Jak żywy staję mi w oczach taki obraz: nastrój rewolucyjnego podniecenia, ciemna aula po brzegi wypełniona studentami i pracownikami Wydziału Filologicznego, w napięciu czekamy na Jacka Kuronia, który spóźnia się chyba kwadrans. Potem z przejściem słuchamy jego opowieści. Kuroń – z nieodłącznym papierosem – chodzi po scenie od ściany do ściany, jak niegdyś w więziennej celi. Zabawnie, z dużą werwą relacjonuje swoje doświadczenia z władzą, opowiada o tym, jak oswoił klawisza, jak wyglądały przesłuchania, co pozwalało mu wytrwać. Inna scena, której nie zapomnę, rozgrywa się na bytomskim cmentarzu. Godzina chyba 17, na zewnątrz ciemno, lecz na cmentarzu bardzo jasno, a łunę bijącą od tego miejsca widać – żartują zebrani – aż do Lwowa. Pod krzyżem Orłów Lwowskich, ustawionym przez KPN, odbywa się patriotyczna manifestacja. Krótko przemawiają ludzie Leszka Moczulskiego, potem ksiądz odprawia nabożeństwo żałobne za pomordowanych i zaginionych, zebrani modlą się i śpiewają. Płoną tysiące zniczy zapalonych przez Kresowiaków. Kiedy mama podaje mi trzy lampki, za dusze swoich rodziców i zaginionego brata, po raz pierwszy czuję, że „Lwów jest wszędzie” (to oczywiście cytata z Adama Zagajewskiego), po raz pierwszy rozumiem zabużański dramat i żałobę mamy. Rodzinne dziady okazały się żywą lekcją historii, otwierającą na losy przodków. Nie na historię Polski, ale na historię rodzinną. Do tej pory byłem naturalizowaną Ślązaczką, od tego dnia zaczynam szukać swojej tożsamości w rozmowach z rodziną. Gdyby nie ten krzyż implikujący otwarcie na przeszłość, może nie zainteresowałabym się dziejami Kresów, Galicji, Śląska..., nie uczyłabym dzisiaj historii. Prowadząc wykłady z historii Polski (wybrane zagadnienia naszych dziejów od Mieszka I do Donalda Tuska), zauważam postępujący zanik wiedzy i zainteresowania przeszłością. Młodych nie interesuje „dawniej”. Ze szkoły pamiętają niewiele, powieści historycznych nie czytają, myślą Piastów z Jagiellonami, płaczą im się powstania i wojny światowe, o wiekach późniejszych wolę nie mówić.

Nasze „było” miało mocny kościec historyczny. Pomijam motywowaną politycznie interpretację faktów historycznych, zwłaszcza XX-wiecznych. Nas historia dotyczyła, bolała, kształtowała. Wszystkie dzieci PRL chowały się na filmie *Czterej pancerni i pies*, znały ekranizację *Trylogii* i *Krzyżaków*. Dzisiaj młodzi wolą kryminały i fantasy, historia ich nie interesuje. Przyczyny tej obojętności są różne. Wśród rozlicznych atrakcji i ofert doraźnych nie ma czasu na „muzealnictwo”, ci bardziej wykształceni po lekturze tekstów Haydena White’a wiedzą, że Historia jest opowieścią skłamaną, interesowną. Na

domiar złego gruntuje stereotypy i uprzedzenia, a przypominając popełnione zbrodnie, podsyca wzajemną niechęć, utrwała podziały etniczne, religijne, inne. Zdaniem jednego z moich lepszych studentów podejrzana wiedza historyczna to zbędny balast, najlepiej nie pamiętać, „żyć do przodu”, zapomnieć. Może przesadzam, nadmiernie uogólniając, jednak podejrzewam, że większość młodych hołduje dewizie: trzeba żyć w czasie „teraz”, bez „było” czy „będzie”, ponieważ „było” to literatura, a „będzie” jest niewiadomą. Według nich historia jest fikcją, opowieścią na usługach polityków, którzy załatwiają doraźne interesy. Oni nie ufają politykom i nie chcą historii.

Nie zamierzam polemizować z tym stanowiskiem. Zwracam jednak uwagę na pokoleniową odmienność. Dla nas – niezależnie od tego, po której byliśmy stronie (komuniści/antykomuniści) – historia była ważna. W myśl przekonania, że człowiek jest pamięcią, na wszystkie ważne pytania – socjologiczne, polityczne, egzystencjalne – szukaliśmy odpowiedzi w przeszłości. Adam Michnik, lider solidarnościowej rewolty, był historykiem. Zbigniew Herbert – guru Nowej Fali – sięgał aż do Tukidydesa, wiedzę ze szkolnych podręczników weryfikowaliśmy, wykorzystując eseistykę Pawła Jasienicy, czytaliśmy Normana Daviesa, „Zeszyty Historyczne”, paryską „Kulturę” i inne wydawnictwa Instytutu Literackiego, którym zarządzał nieoceniony Jerzy Giedroyc. Dzisiaj wszystko znajduje się w zasięgu ręki, więc spowszedniało. W okresie naszej młodości „prawda historyczna” była owocem zakazanym, kuszącym, snobistycznym, otwierającym drogę na „dysydenckie salony”. Głód autentyku i brak zaufania do podręcznikowej wersji historii skłaniały „okularników” (bo jednak nie wszystkich) do posiadania pozycji nie do zdobycia, takich jak *Wojna i konspiracja* Zygmunta Zaremby, *Katyń – akt sowieckiego ludobójstwa* czy inne, liczne prace emigracji londyńskiej na temat najnowszej historii politycznej Polski. W domu znajomych, a także w Zakładzie Teorii Literatury, w zamkniętej szafce, strzeżonej przez klucznika wydziałowej Solidarności, znajdowała się biblioteka bezdebitów, z której wypożyczano książki i czasopisma wszystkim zaufanym. A taka partyzantka łączy bardziej niż balanga czy klub dyskusyjny.

Lata 70. i 80. to okres, który moi znajomi wspominają dobrze. Gdy studenci na egzaminach recytują: szarość, bieda, puste półki, cenzura, naloty milicji... i z takiej opowieści wyłania się obraz życia w koszmarnej państwie policyjnym, zastanawiam się, czy aby na pewno są to lata mojej młodości, które upłynęły w trójkącie Bytom – Sosnowiec – Katowice, w przestrzeni dobrej, oswojonej, zapisanej zdarzeniami formującymi moje „ja”. Na spotkaniach towarzyskich z równolatkami właśnie ta czasoprzestrzeń powraca ze szczególną intensywnością i nieczęsto wspominamy jej ciemne strony, raczej pamiętamy sytuacje „napięte” (oczekiwanie na coś, na kogoś) i zabawne. Nam wtedy było dobrze. Dobrze, bo razem. Dzisiaj żyjemy osobno, spotykamy się raz, dwa w roku, wymieniamy maile, załatwiamy interesy i biegniemy do swoich spraw, nieważne

jakich, zawodowych czy prywatnych, do swoich. Kiedyś wiązały nas sprawy wspólne, „nasze”. „Wszystkie nasze wspólne sprawy” – powtarzam za Szymborską – łączyły nas w przestrzeni uczelni, miasta, klubu, do wieczora zatrzymywały poza domem. Ponieważ nie było kserokopiarek, wiele godzin spędzało się w czytelni, na czytaniu, przepisywaniu fragmentów zadanych tekstów. W międzyczasie, żeby rozprostować kości, lubiliśmy wspólnie wałęsać się po parku Kościuszki, zaliczyć kino, posiedzieć w kawiarni, wieczorem wybrać się do klubu studenckiego. W Bytomiu, moim rodzinnym mieście, działał Pyrlik – jeden z najlepszych ROS-ów (Regionalny Ośrodek Studencki dwukrotnie odznaczony prestiżową nagrodą „Złotej Róży”). Usytuowany w centrum miasta, w podziemiach starej kamienicy, zajmował dużą przestrzeń (8 pomieszczeń, w tym duża sala koncertowa i kameralna sala kominkowa) i codziennie tam się coś działo, że nie wspomnę dużych przedsięwzięć, dzisiaj podejmowanych przez domy kultury i galerie. W tym okresie Bytom był miastem bardzo bogatym, klub sponsorowały hojne kopalnie, nie było problemu z finansowaniem imprez. Pyrlik organizował różne turnieje (najpopularniejszy – szachowy), koncerty, festiwale i bale. Przyjeżdżała do nas Piwnica pod Baranami z cudownym Piotrem Skrzyneckim, Wojciech Młynarski, Jacek Fedorowicz, kabarety. Tu lansowali się młodzi artyści z ASP czy PWST, studenci z uczelni śląskich założyli kabaret „Ale jaja”, któremu szefowała starsza koleżanka po polonistyce. Cenzura – a jakże – była, ale od czego są aluzje? Wiedzieliśmy, kto jest kto, z kim można, a z kim nie można swobodnie rozmawiać, teksty pisało się językiem ezopowym, co pozwalało ominąć zakazy. Na miano „najweselszego baraku” założyliśmy dzięki ludycznym prowokacjom i wygłupom, pozornie dla państwa niegroźnym, ale takie zachowania, pełniące istotną funkcję symboliczną i jednoczącą, grały władzy na nosie, pokazywały, że się nie boimy.

Doskonale pamiętam bal przebierańców, na którym za swój concept dostałam jakieś wyróżnienie. Godzinami pracowałam nad balową kreacją – czarną obcisłą suknię z krempliny obszyłam wycinankami z atlasu świata, na pośladkach ulokowałam wielki Związek Radziecki, na lewej piersi Lwów i Tarnopol (miasta moich rodziców), na prawej Paryż. Pozostałych lokalizacji już nie pamiętam, wiem tylko, że nie były przypadkowe. Oczywiście ten mały manifest niezgody na powojenny porządek świata trudno nazwać buntem, a piszę o tym, by uświadomić młodym, ile pomysłowości i energii wkładało się w aluzyjne, często zabawowe, formy zakomunikowania światu swojego sprzeciwu wobec Wielkiego Brata. Panowie TW też się bawili, nasze dowcipy ignorowali, przymykali oko. Wbrew temu, co dzisiaj mówią, w Pyrliku nikt nas specjalnie nie ograniczał, może dlatego, że rej wodzili tutaj studenci Politechniki Śląskiej i Akademii Medycznej, humanistów-wywrotowców było niewiele i nie mieliśmy nowofalowca na miarę Barańczaka. W Pyrliku z Młynarskim śpiewaliśmy „przyjdzie walec i wyrówna”, w sali kominkowej urządziliśmy zamknięte (nie dla wszystkich) patriotyczne wieczory (np. 11 listopada),

na których śpiewało się zakazane piosenki. Parę ulic dalej komisariat, a my heroicznie, na całe gardło śpiewamy *Pierwszą brygadę*. Czy czuliśmy się wtedy ważni i odważni? Chyba nie, więcej w tym było zabawy, ucieczki od rzeczywistości. I może dlatego nie przeszkadzała nam szarość za oknem i zamknięcie w granicach PRL. Oknem na świat były książki i Radio Wolna Europa, więc sporo inwestowaliśmy w bogate życie kawiarniano-studenckie: imprezowanie, kontestowanie, turnieje taneczne i poetyckie, koncerty, kabarety i wspaniałe bale. W kłębach dymu i oparach alkoholu prowadziliśmy długie nocne Polaków rozmowy... Rano godzinna drzemka i bieg na zajęcia. Wciąż nie pojmuję, skąd brałam siły na zwariowane życie studenckie. Całymi dniami gdzieś działałam, na przygotowanie do zajęć zostawała noc – parę godzin snu albo noc zarwana i tak przez całe lata. Jako studentka wreszcie wyrwałam się spod kurateli mamusi, mogłam jeździć na różne zgrupowania i do rana balować w Pyrliku. Na temat fascynacji studencką wolnością mogłabym opowiadać godzinami. Już na pierwszym roku trafiłam do Komisji Kultury Rady Okręgowej ZSP i bardzo aktywnie włączyłam się w jej prace. Najlepiej wspominał obiad z Markiem Grechutą i wizytację śląskich ROS-ów: w Gliwicach Gwarek i Spirala, w Sosnowcu Beanus, w Chorzowie Kocynder...

Byliśmy młodzi, pełni sił witalnych dających intensywność życia i napęd do buntu. Największą różnicę między nami i młodymi dzisiaj widzę w zanikającej potrzebie bycia w grupie, działania grupowego. Im brakuje czasu na codzienne, wielogodzinne spotkania z przyjaciółmi. Żyją w rozbiegu: studia, praca, rodzina, Internet, esemesy... W weekend mogą skoczyć do Pragi czy do Berlina, świat stoi dla nich otworem. Im warto ciuć na bilet do Ameryki Południowej, a dla mnie takie przedsięwzięcie wciąż pozostaje w sferze marzeń. Nasi studenci nie czekają „na okazję”, planują i realizują, co mi bardzo imponuje. Może przesadzam, sądzę jednak, że my spełnialiśmy się w gadaniu – co by trzeba czy można – oni po prostu działają, bez piętrzenia trudności, bez zahamowań. Działają w myśl zasady „chcieć to móc”, bo taką psychospołeczną postawę lansują reklamy „dobrego życia”. W tym parciu do celu są konsekwentni, czasem nawet bezwzględni. Gdzieżby nam przyszło do głowy stawiać wymagania prowadzącym? Dzisiaj student, który ma do mnie stały, codzienny dostęp, trzy razy zmienia termin spotkania, bo „mu nie pasuje” – pracuje do nocy, ma chore dziecko lub coś innego ważnego nie pozwala mu przyjść na egzamin. Czy powinnam się dostosować? Oczywiście można go skreślić, ale... Po pierwsze wiadomo, że łączenie szkoły z pracą jest trudne, po drugie – skreślamy w ostateczności, bo przy stałe zmniejszającym się naborze, bardziej nam zależy na studentach niż im na studiowaniu. Takie czasy.

Moje pokolenie dorastało w świecie zamkniętym, z ostrą świadomością różnych ograniczeń, które skłaniały nas do poszukiwania innych możliwości. Jeśli nie można wyjść drzwiami, to wychodzi się bocznym wyjściem, oknem czy piwnicą, omijając główne

wejście. Młodzi mogą działać legalnie, nas – siłą rzeczy – kusity nielegalne strony życia, tym bardziej że akademickie otoczenie „niepolityczne” zachowania legalizowało. Mój promotor pracy magisterskiej i doktoratu, profesor Ireneusz Opacki, wcale nie przejmował się zapisami cenzury. Czytaliśmy Czesława Miłosza, zanim jego książki pojawiły się na rynku wydawniczym czy w bibliotece. Tego Nobla zapamiętałam szczególnie, przez splot okoliczności, dzięki któremu pojechałam ze studentami do Lublina na studencką konferencję o Miłoszu. W tzw. okresie solidarnościowym opiekun koła polonistów (pełnej nazwy już nie pamiętam) dr Leonard Neuger – który przyjął zaszczytną, acz pożerającą czas funkcję szefa wydziałowej Solidarności – scedował na mnie opiekę nad kołem i musiałam zmierzyć się z trudnym zadaniem przygotowania studentów do udziału w konferencji. Odbiór Miłosza wymagał kompetencji, nie było żadnych opracowań, więc żeby wstępnie ocenić wystąpienia studenckie, bardzo się napracowałam. Było warto! Dzisiaj trudno sobie to wyobrazić, jak moje pokolenie reagowało na Nobla! W 1996 roku, po Noblu dla Szymborskiej (myślę o niej „moja Wisia”), entuzjazm był mniejszy – czasy już były inne – ale kiedy tę nagrodę dostał Miłosz, Polska szalała z dumy i radości. Prawie nikt jego wierszy nie znał, bo skąd, od lat 50. poeta był na indeksie cenzury, a jednak nagle pojawiły się edycje „domowe”, jakieś wybory na powielaczu czy kserokopiarkach, studenci kierunków humanistycznych organizowali wieczorki poezji Miłosza, szukali tam inspiracji do wyrażenia swoich reakcji wobec rzeczywistości. Miłoszem mówiło się na co dzień, np. drobne przewinienia żartobliwie komentowano słowami z wiersza *Który skrzywdziłeś*: „Nie bądź bezpieczny, poeta pamięta”. Pierwsza wizyta Miłosza w Polsce to było wydarzenie! Zobaczyć go na własne oczy, przywieźć z Lublina jego nowo wydane wiersze – to było coś. W tym czasie poloniści, i nie tylko oni, mieli wręcz nabożny stosunek do twórców emigracyjnych i pisarzy objętych cenzurą, kolekcjonowali bezdebity lub przepisywali ważniejsze fragmenty.

Dzisiaj młodym trudno uwierzyć w zapisy na dziesięciotomowe *Dzieła Gombrowicza* czy kolejkę do paryskiego wydania *Etyki i poetyki* Barańczaka. Nocą pracowicie przepisywałam szkic o „donosach z rzeczywistości” Białośzewskiego, bo nazajutrz przejmowała tę książkę kolejna osoba. To były piękne czasy. Większość z nas miała poczucie, że uczestniczymy w czymś ważnym, bo przecież od polonisty zależy świadomość przyszłych pokoleń. Literatura i konspiracja – to nas łączyło w koleżeńskie grupy, które później mocno zaangażowały się w Solidarność. W świętej naiwności wyznaczaliśmy książkom rolę duchowych przewodników. Artysta, krytyk czy polonista pełnili misję, mogli stać się autorytetami – tak nas uczono i tę prawdę mieliśmy przekazać swoim uczniom. Nie mieliśmy paszportów, więc świat nas specjalnie nie kusił. Słuchaliśmy Beatlesów i Okudżawy, wspólnie omawialiśmy filmy Zanussiego, zakazane książki nowofalowców i teatr TV. Ponieważ wspólnie spędzaliśmy dużo czasu – przesiadując w kawiarniach,

czytelniach, na prywatkach – to rozmawiało się o lekturach, filmach, imprezach. Mieliliśmy czas, dużo czasu, na rajdy, wycieczki, wypadki do teatrów w Krakowie czy Warszawie, na luźne rozmowy o sztuce, życiu i naszym wesołym baraku. Odczuwając ciężar „kraty”, głośno śpiewaliśmy *Mury*, a kiedy naród zastrajkował, na Wydziale Filologicznym zorganizowano strajk okupacyjny. Tradycyjnie: spanie na styropianie, zupa z kotła, dowożona chyba z Huty Katowice, i bogaty program popularnonaukowy, żeby czymś zająć studentów stłoczonych na niewielkiej powierzchni małego budynku w Sosnowcu.

Do tej pory używałam formy „my”, teraz jednak chcę powiedzieć o sobie. Jest grudzień 1981 roku, śnieżna zima, na uczelni kolejny dzień strajku. Żadna komunikacja nie działa, telefony odcięte, tramwaje nie jeżdżą, mąż inżynier zmobilizowany, a ja uziemiona w domu z dwuletnią córką. Oczywiście nie mogę usiedzieć, pakuję Kaśkę na sanki i jedziemy do strajkujących studentów. Dzisiaj wiem, że ta wyprawa była głupim ryzykanctwem – budynek mogło zaatakować dzikie, faszerywane prochami ZOMO – ale wtedy nie myślałam o ewentualnych skutkach. Obie z koleżanką, która też przybyła ze swoim maluchem, przyjęłyśmy założenie, że matki z dzieckiem gwarantują studentom bezpieczeństwo, „bo przecież matek nie aresztują”. Wspominając czas strajkowy i „wojnę jaruzelską”, muszę przyznać, że mimo grozy sytuacji – nie wiedzieliśmy, co się wydarzy, co będzie z aresztowanymi – wartością tego czasu było nasze „razem”. Wspólne zaangażowanie w coś ważnego, by nie używać podejrzanego dziś słowa „idea”. Po jednej stronie władza, a po drugiej „my”. Zbieramy pieniądze dla rodzin uwięzionych, kolportujemy bibułę, mamy wspólnotowy program obalenia peerelowskiego porządku i wierzymy, że to się uda. Bardziej obchodzą nas losy internowanych przyjaciół niż własna rodzina. „Každy z nas ma schronienie w betonie, oprócz tego po jednym balkonie” (Barańczak) i nie domaga się więcej, bo konsumpcjonizm jeszcze do Polski nie dotarł. Kiedy większość żyje na podobnej mizernej stopie, niski standard nie jest problemem. Lepiej powodzi się resortowym i badylarzom, natomiast tzw. inteligencja kontestuje konsumpcjonizm, nie dba o dobra materialne, pogardza dorobkiewiczami, woli „być” niż „mieć”. Modne podówczas hasłowe pytanie „być czy mieć?” – dziś anachroniczne, niestosowne i źle postawione – w czasie naszej młodości wyznaczało życiowe programy i kształtowało postawy. Właśnie w rozumieniu „być” widzę istotną różnicę pokoleniową, trudno to jednak wyjaśnić bez argumentów natury filozoficznej, a ponieważ filozofia też bankrutuje, raczej ów śliski wątek pomnę.

Szczerze mi żal moich studentów, zmuszonych łączyć naukę z pracą i rodziną. Goniąc za pieniędzmi, nie mają czasu na luźne spotkania, nie przychodzą na wernisaże, nie bywają w teatrze czy w klubach dyskusyjnych. Spotkają się w sieci, namiętnie esemesują, ale w moim przekonaniu takie kontakty sprzyjają separacji i słabo przygotowują do „bycia razem”. Dlaczego biesiadujący południowcy, np. Grecy, Hiszpanie, Włosi,

cieszą się życiem bardziej niż bogaci, melancholijni Skandynawowie? Chyba nie wszystko wyjaśnia słońce. Nasza młodość była rozgadana, biesiadna, zaangażowana. Dzisiaj szkoda czasu na „rozmowy o niczym”, trzeba się wypromować, zaoferować jakiś produkt, inwestować w nowe technologie, składać granty, wypełniać stopy papierów... Być znaczy być konkurencyjnym, bo liczą się interesy, a „czas to pieniądz”. Każdy zatem uczy się zarządzania czasem, już liczonym w nanosekundach, każdy dba o własny ogródek, przed którym ustawia płotek, by nie wtargnęli nieproszeni goście. A propos gości – dawniej można było wpaść do przyjaciela tak po prostu, bez zapowiedzi, zwłaszcza że nie wszyscy mieli telefony. Dziś widzimy, kto dzwoni, co daje błyskawiczną możliwość nieodebrania, natomiast przyjść do kogoś z wizytą bez zapowiedzi to duży nietakt. Nie oceniam, też nie lubię nagłych odwiedzin, pokazuję tylko, jak bardzo zmieniły się obyczaje. Skok cywilizacyjny, powszechna dostępność telefonu, otwarte granice – to wszystko złożyło się na komfort życia, który dla naszego pokolenia pozostawał w sferze marzeń.

W ubiegłym roku na konferencji w Krzemieńcu, w pięknie odnowionym liceum im. Tadeusza Czackiego (ukończył je Juliusz Słowacki), widząc brak papieru toaletowego, przypomniałam sobie przedświąteczne zakupy w PRL. Otóż, wracając z dwiema siatkami wiktuałów, ozdobiona wieńcem białych rolek papieru – założonym na szyję, jak teraz nosi się kominy – po udanym polowaniu, byłam szczerze usatysfakcjonowana. Czy takie doświadczenie można przekazać młodym ludziom? Z pewnością nie rozumieją, a ja naprawdę czułam się szczęśliwa. W okresie kartkowym często jeździłyśmy z koleżanką na targ do Będzina, żeby kupić kurę czy królika, bo jak wiadomo, małe dzieci trzeba karmić mięsem. Jeśli więc rzucili produkt pozakartkowy, a jeszcze udało się zdobyć papier toaletowy, było to wydarzenie porównywalne z zakupem trzyletniego volvo. Takie małe radości cieszyły bardziej niż dzisiejszy zakup torebki Chanel.

Można by pomyśleć, że sławią siermiężne życie w PRL. Ależ nie, ja tylko tłumaczę, z czego wynikała nasza pogarda dla dóbr materialnych. Jest takie powiedzenie, ostatnio chyba rzadziej używane: „Jak się nie ma, co się lubi, to się lubi, co się ma”. Świadomie lub podświadomie próbowaliśmy zaakceptować naszą rzeczywistość. Jej absurdy obśmiewali satyrycy, a my bardzo kochaliśmy kabarety, mówiliśmy cytatami z programów Długiego czy Elity. Dumny Polak nie płacze z powodu braku mięsa czy masła, raczej obróci każdy niedobór w żart. Tak bawiliśmy się aż do przełomu lat 89 i 90, kiedy to nasz ezopowy świat – biedny, ale bogaty – rozleciał się w kawałki. Dzisiaj młodych nie bawi *Miś*, nie rozumieją naszych dowcipów, nie łapią aluzji w wierszach i tak być musi. Urodzili się w innym świecie, ani gorszym, ani lepszym, po prostu innym. Inaczej są wolni, inaczej zniewoleni, ale czy można obrażać się na fakty?

część druga: co jest?!

Oda do młodości

Jest taki tekst (tu tylko fragmenty, bo jest ci on długi):

„Takie widzi świata koło,
Jakie tępymi zakreśla oczy.
Młodości! ty nad poziomy
Wylatuj [...]
Tam sięgaj, gdzie wzrok nie sięga;
Łam, czego rozum nie złamie:
Młodości! orla twych lotów potęga,
Jako piorun twoje ramię”.

Tekst, przyznacie Państwo, niezbyt rozsądny, ale ta młodzież właśnie wymyśliła iPhone'a i Facebooka.

Nie tylko z racji wieku, ale tak w ogóle miałyby się ochotę dzisiaj napisać inną odę, bo ktoś tej młodzieży powinien to powiedzieć. Na przykład taką:

Oda do młodości (ale krótka)

Różni nas coś.
Myśmy coś chcieli. Oni też coś chcą. Kupić.
Im jest obojętne, co mogłoby być w sklepach.
Im wystarczy, co jest. Mają przecież wybór.
Kochani. Nie macie nic, czego nie można kupić.

manifesty

Manifest. O edukacji

Podstawówka. Kiedyś pedagogzy z zerowym przygotowaniem merytorycznym, dziś pedagogzy z koszami na śmieci na głowie.

Gimnazjum. Kiedyś bez, dziś z i nie wiadomo po co. Ale odpady na głowie nadal aktualne.

Liceum. Nauka wszystkiego i niczego, byle pod klucz.

Studia. Kiedyś prestiż, dziś nic szczególnego. Kiedyś wyjątek, dziś norma. Tu za to koszy nie ma.

Edukacja osiągnęła poziom dna.

W przedszkolu jedna nauczycielka ma pod opieką 25 dzieci, z których mają wyrosnąć twórczo myślący obywatele. Brak tu też pedagogów i psychologów, bo taki zakaz. Podstawówka i gimnazjum to uczenie się na pamięć: wzory, definicje, schematy. Brak zrozumienia, brak użyteczności, niewybaczalne zaśmiecianie głowy. A zamiast filozofii duuużo katechezy. Można modlić się o cud. Pojawiają się też niezbędne nowości: psycholog i pedagog. Liceum to maturalne mantry: „matura, matura, matura”, „nie wyrobimy się z materiałem” i „matura to nie bzdura”. W istocie trudno o bzdurniejszy wynalazek. Po egzaminie na wpisanie się w klucz – studia. I tak pasjonatka poezji, co matematyki nie umie, pójdzie na ekonomię (bo tata kazali), poza tym bankier to dobra fucha. Zapalony ornitolog pięknie wypracowanie napisał na maturze, więc będzie dziennikarzem (dziennikarz – to brzmi dumnie). Tylko nieśmiały trochę jest i niezainteresowany światem (no może z wyjątkiem tych ptaków), i ten wzrok wiecznie znudzony. Może się rozkręci.

Uczelnie to fabryki, produktem masowym jest student z papierem do wyboru licencjat/inżynier/magister. Napisanym lub kupionym. Jak kto woli. Profesorowie nie mają lepiej, zamiast o studenta muszą martwić się o papierologię. To i potem czasu na egzamin ustny nie ma, co najwyżej na test a, be, ce, de. To przynajmniej dla studentów łatwiej, można strzelać. A jak szanse na strzał marne, zawsze pozostaje nadzieja na „kto chce tróję, niech wychodzi”.

I tak machina się napędza i wpędza w coraz większy uczelniany marazm, nudę i pozory. A po studiach praca. I tak „poetka” zostanie źle liczącym bankierem, a „ornitolog” nieorientowanym dziennikarzem. A byłiby z nich tak wspaniali Poetka i Ornitolog.

Tymczasem w odległej Finlandii...

Ciemno wszędzie. Bo zima i słońce szybciej zachodzi. Bo chmury i wieje. Bo zmarł Konwicky (i wszyscy inni nasi Konwiccy, Przybylskie, Oleksy, co im się zmarło). Bo we Francji strzelają i zabijają właśnie z powodu własnej ciemnoty. Bo siedzimy po ciemku pół na pół przed telewizorem i komputerem (swoją drogą to niesamowity sposób na trening podzielności uwagi).

A tam, w tym pierwszym magicznym pudełku (określenie w tym znaczeniu archaiczne – teraz to cienka, coraz cieńsza szybka) KABARET, KABARET i jeszcze raz KABARET. Urodziny kabaretu, imieniny kabaretu, zaręczyny, Zaduszki. Siedemnaste, trzecie, dziesiąte, pierwsze. Kabaret w każdej możliwej odmianie. Po pierwsze: próba uleczenia powszechnie panującej choroby cywilizacyjnej zwanej przez uczonych depresją. Objawia się ta próba kabaretem tradycyjnie rozumianym, czyli (od kilku lat przynajmniej) robieniem z siebie idioty na scenie przez, mam wrażenie, losowo wybranych ochotników. Po drugie: pogłębianie tej, nazwanej przez uczonych, depresji. W tym worku znajdziemy trochę inne przedstawienia... bardziej przypominające starożytne walki gladiatorów na arenie Koloseum. Swoją drogą, budynek terazniejszych krwawo-słownych rozrywek kształtem nieco nawet przypomina swój rzymski odpowiednik.

Tak, oglądamy te kabarety, wpatrzeni w ekrany, i wcale nie jest nam do śmiechu. Przynajmniej mnie nie jest. Bo teraz przecież cały świat, wszystko, co się wydarza, jest na ekranie. Mniejszym, większym, przenośnym czy stacjonarnym. A nie dzieje się tam zbyt dobrze. My, szczęściarze, którym los dał niebywałą zaszczyt, jedyną w swoim rodzaju cudowną okazję żyć w dwóch wiekach (co tam wiekach... w tysiącletniach!), MIEWAMY interakcje ze światem jedynie drogą elektroniczno-klikająco-ekranową.

Z jednej strony to zastanawiające i poniekąd budujące, jak szybko nasze pokolenie pochłonęło owoce rozwoju technologicznego podane nam na srebrnej tacy. Szybko się uczymy, dostosowujemy do sytuacji – plus. Z drugiej zaś tragiczne jest to, jak szybko poddajemy się autodestrukcji i włączymy bez oporów w szpony lenistwa. Ta linia najmniejszego oporu w jakimkolwiek działaniu – zdecydowany minus.

Głucho wszędzie? Raczej nie. Każdy przecież ma wciśnięte w uszy słuchawki, z których dudni ulubiona muzyka. Chyba że ogłuchniemy w końcu od tego słuchania, jak to każda babcia zwykła mawiać i przestrzegać. Wtedy rzeczywiście będzie głucho. Poza

tym krzyczymy, manifestujemy, wychodzimy na ulicę. Znaczy, zdarza nam się. Znaczy, rzadko nam się zdarza. I tylko niektórym. Ale wszystkim coś nie odpowiada, na coś narzekamy, coś nas denerwuje. I całe szczęście. W tym nasza nadzieja na układanie świata i życia (w sumie to jedno i to samo) po swojemu. Bo przecież, tak jak oprogramowanie w naszych mądrych ekranowatych urządzeniach, wszystko trzeba aktualizować. Dlatego tak często kłócimy się z tymi, co za aktualizacjami, następującymi rzeczywiście coraz szybciej, nie nadążają. Dlatego ciężko nam przewidzieć, co nas czeka. Czy ewentualnie znajdziemy pracę, czy ewentualnie zarobimy na czynsz i bułkę z bananem, czy może w ogóle do tego czasu zniesiemy pieniądze i wymyślimy coś mądrzejszego, a bułki z bananem, albo nawet dwoma, będą rozdawać na ulicy za klaśnięcie w dłoń? Może chłopcy staną się mężczyznami, może dziewczęta damami. A może chłopcy dziewczętami, a damy mężczyznami... czy jakoś tak. Dzisiaj nic nie wiadomo. Z taką świadomością, ze świadomością niepewności rzeczywiście może nam grozić ta nazwana naukowo depresja. Ale *don't worry*, wszystko jest *cool*, mega i w ogóle! Łatwo nam się żyje z dnia na dzień.

I właściwie chyba to dobrze. Przecież niektórzy filozofowie uparcie twierdzili, że liczy się tylko tu i teraz. Pewnie mieli rację. Czemuś trzeba wierzyć. Chociaż mimo tego, mimo naszego ustawicznego *carpe diem*, w tyle głowy pojawia się pytanie: co to będzie, co to będzie?

pędzimy, z dnia na dzień coraz szybciej. ciągła zachłanność. nowe, lepsze, jeszcze, jeszcze bardziej. młodzi – teraz, już, starzy – odchodzą do lamusa. dwa bieguny. uciekamy, zamykamy się, chowamy, siedzimy cicho. krzyczymy, tacy sami, a zarazem zupełnie inni.

MANIFESTujemy. kochamy i nienawidzimy. lenistwo i chore ambicje. szukamy prawdziwego ja i poddajemy się. pokolenie skrajności. a w tym tak wszystkim łatwo się zgubić.



manifest

Urodziłam się w 1994 roku, mama miała wtedy 23 lata, ojciec był niewiele starszy. Wrócił z czteroletniego pobytu w Stanach, gdzie odkładał pieniądze na wybudowanie domu dla swojej przyszłej rodziny. Niewiele pamiętam z okresu wczesnego dzieciństwa. Gromadzę wspomnienia, przeglądając albumy rodzinne. Ulubione fotografie to te, które przedstawiają mój przyszły pokój jeszcze z betonową posadzką. W tle widnieją liczni członkowie rodziny, którzy pomagali w budowie. Dla nich chyba każda okazja była dobra do tego, by się spotkać. W mojej pamięci dość wyraźnie rysuje się obraz niedzielnych wizyt u pradiadków. Wspomnienia mszy kościelnej i niewygodnych sukienek do tej pory przyprowadzają mnie o dreszcze. Jednak ową udrękę rekompensowało popołudniowe spotkanie z rodziną. Ciocie i wujkowie zjeżdżali się z różnych stron, jedliśmy obiad przy ogromnym dębowym stole, po czym zniecierpliwione dzieci mogły nareszcie uciec do ogrodu i zająć się poszukiwaniem skarbów. Nikogo nie trzeba było zapraszać, niepojawienie się tego dnia u rodziców było wyrazem braku szacunku. Nie robiliśmy tego jednak z przymusu, czas spędzony w tym starym domu przynosił spokój i poczucie bezpieczeństwa. Prosiłam mamę, by pozwoliła mi zostać u pradiadków na noc, wtedy bezkarnie mogłabym przez całą noc czytać książki, ale mama rzadko się zgadzała. Rozumiałam jej argumenty, poniedziałek rozpoczynał ciężki tydzień. Zajęcia do godziny piętnastej, później basen i jeszcze dodatkowa nauka języka angielskiego. Mama kładła duży nacisk na moją edukację, tłumaczyła mi, jak ważne jest kształcenie swojej osoby. Pod tym względem jej raczej nie zawiodłam, ale w miejscu, w którym jestem dziś, zastanawiam się, czy to rzeczywiście było najważniejsze.

Teraz niedziele spędzam zazwyczaj sama, ewentualnie w towarzystwie najbliższej rodziny, siostry i taty. Nie wyciągam z szafy sukienki, raczej cały dzień chodzę w znoszonym dresie. Kontakt z kuzynostwem mam jedynie za pośrednictwem Facebooka, ewentualnie widuję ich na pogrzebach lub komuniach organizowanych w restauracjach. Nie wiem, co przyczyniło się do tego, że tak się od siebie odsunęliśmy. Tłumaczymy się brakiem czasu i nadmiarem obowiązków, zmęczeniem, które wychodzi na światło dzienne podczas jedynego wolnego dnia w tygodniu. Nie wiem, na ile jest to sensowne argumentowanie. Ten problem nie dotyczy chyba tylko mojej rodziny. Widuję na ulicach zabieganych ludzi, z tabletami pod pachą. Na ich twarzach maluje się zazwyczaj zmęczenie zmieszane z irytacją. W pośpiechu jedzą obiad, wracają do domu. Światło monitora odbija się w ich oczach. Natłok informacji, obrazów i przedmiotów sprawia, że nie mają nawet ochoty dzielić się nimi z innymi. Dzieci siedzą w swoich pokojach i odrabiają lekcje. Nie chcą zaprzętać mamie głowy pytaniami, przecież wyszukiwarka Google poda im odpowiedź.

Gonimy za wykształceniem, później za pracą. Wydajemy pieniądze i ciągle nam ich brakuje. Martwimy się o swoją przyszłość, więc wybieramy kolejny kierunek studiów albo staramy się o awans. Odkładamy na konto pieniądze, kupujemy mieszkanie i zatrudniamy architekta, by urządził nam wnętrze. Mamy ambicje, które niełatwo jest zaspokoić. Nie poddajemy się jednak, chcemy udowodnić, jak wiele jesteśmy w stanie osiągnąć, chcemy dorównać ikonom prezentowanym w mediach. Zmienia się nasz status materialny, ale nic poza nim. Obserwuję te procesy i zastanawiam się, dokąd to prowadzi. Bogacimy się, ale co za tym idzie? Jak już wspomniałam, kiedyś nasi rodzice wyjeżdżali za granicę, by odłożyć pieniądze na własne mieszkanie czy utrzymanie rodziny. Teraz patrzę na moich znajomych, którzy mimo sporej wypłaty wpływającej co miesiąc na konto, nie zmieniają niczego w swoim życiu. Zwiększa się jedynie ilość gadżetów, które posiadają. Gromadzą pieniądze, bo tak trzeba. Przecież to one dają poczucie bezpieczeństwa i poprawiają komfort życia. Jesteśmy zaradni, samodzielni. Często określamy nas za pomocą przymiotnika „samotni”, ale to nie jest chyba odpowiednie słowo. Wydaje nam się jedynie, że jesteśmy samowystarczalni, ale to przecież rodzice od najmłodszych lat uczyli nas, że w życiu należy liczyć tylko na siebie. Skupiamy się na własnej osobie, na swoich ambicjach i marzeniach. Zastanawia mnie tylko jedno. Dlaczego w tym wszystkim tak często odczuwamy smutek i przygnębienie? Przecież niczego nam nie brakuje, wszystko jest na wyciągnięcie ręki.

Może to właśnie w tym tkwi problem naszego pokolenia? Chcemy zdobywać, posiadać, gromadzić. Udowadniać innym, na jak wiele nas stać. Nie potrafimy chyba cieszyć się z tego, co już mamy. Skupiamy się na poprawie statusu życia, jednak nie mamy kiedy tym życiem żyć. Chciałabym umieć pogodzić to wszystko. Czerpać wartości przekazywane przez moich dziadków, a jednocześnie wykorzystywać możliwości i dobra, które oferuje nam współczesność. Budować siebie, kształtować swój charakter, ale jednocześnie umieć dzielić się nim z innymi. Oddałabym sporo, aby powróciła magia tej niedzieli, kiedy ludzie wyczekiwali spotkania z najbliższymi. Nie chcę spędzać wolnego czasu na siłowni, pragnę zebrać znajomych i pochodzić z nimi po górach. Myślę, że teraz, kiedy dostrzegam problem, jaki rodzi się w zachowaniu młodych ludzi, będę mogła go naprawiać. Mimo że ulegam wpływom mass mediów tak samo jak każdy inny człowiek, będę na tyle świadoma, by wypracować sobie idee, według których chcę żyć. W naszym pokoleniu tkwi ogromny potencjał, mam nadzieję, że odpowiednio go wykorzystamy i pomożemy młodszym ludziom korzystać z wiedzy i dóbr materialnych, jakie oferuje nam codzienność. Uświadomimy sobie i innym, jak ważne są relacje z innym ludźmi, pokażemy, że pieniądze czy nawet edukacja nie są w stanie ich zastąpić. „Samotność wypala” i po jakimś czasie tracimy motywację do działania, kiedy zdajemy sobie sprawę, że nie mamy dla kogo stawać się lepszymi wersjami siebie.

Otwieram oczy. Piątek. Wstaję. Wskazówki zegara pokazują 11.05. Mam mieć wyrzuty sumienia? KLIK. Nie, skąd – przecież mam prawo sobie odpocząć. Studiuję, ambitnie, uczę się – należy mi się! KLIK. Żołądek przypomina mi o śniadaniu, najważniejszym posiłku dnia. Ha! Bo ja przecież żyję zdrowo. To takie popularne ostatnio, fajnie, że wreszcie ludzie myślą o swoim ciele. KLIK. Tak, ja żyję zdrowo i aktywnie. Bez dwóch zdań. Czytam dużo o ekologicznej żywności, dlatego dobrze się w tym orientuję. Kupiłam ciężarki do ćwiczeń na promocji, leżą pod ścianą w pudełku – co prawda nie miałam czasu ich jeszcze odpakować, ale ja to ostatnio, szczerze mówiąc, w ogóle nie mam czasu. No, ale przecież studiuję, ambitnie, uczę się – to rozumiałe, nie mogę od siebie też za wiele wymagać. Mam przecież jedno życie i zdrowie! Jeszcze zdążę ich użyć, spokojnie. KLIK KLIK KLIK. Dobra, co tam w tym naszym starym, wielkim świecie się dzieje. Kochany Internet. Taki przydatny. Muszę być zorientowana. Terrorysty, przewijam, ktoś tam znany umarł, dalej, dalej, katastrofa samolotu. O nie, koniec tego. Ja to jestem jednak nierozsądna. Muszę się najpierw zastanawiać, czy to dobrze, że wczesnym rankiem serwuję sobie takie rewelacje. Czytam, a potem spać nie mogę, rozmyślam i się denerwuję niepotrzebnie. Jakbym miała mało stresu i za dużo wolnego czasu, ha ha ha – ja przecież studiuję, ambitnie, uczę się, no. Jest ciężko, wiem, co mówię. Śniadanie! Prawie bym zapomniała, wszystko przez te głupoty w Internecie – można się rzeczywiście wrzodów nabawić. KLIK. Czas się wreszcie ruszyć, mówię sobie, ale z zadowoleniem znalazłam idealną pozycję leżącą dla mojego zmęczonego dwudziestojednoletniego kręgosłupa. Pogoda ładna, przez żaluzje okienne przeciskają się odważne promyki pierwszego zimowego słońca. Tak, pójdę dzisiaj pobiegać. 7 stycznia, DZIEŃ ZMIAN! Tadadadaaam. Aż się uśmiecham do siebie, o tak! Dzień Zmian to dziś. Zacznę w piękny dzień, to może mi się będzie chciało potem kontynuować postanowienia noworoczne. Będzie dobrze, powtarzam sobie w duchu. Tylko najpierw to śniadanie. Telefon wibruje, dzwoni przyjaciółka opowiedzieć o wczorajszym wieczorze. Spotkanie paczki z liceum. Trochę żałuję swojej nieobecności, ale komu by się chciało łączyć po tych knajpach, tłuc się nocnymi autobusami. Wyleczyłam się z tego. Na pewno. Zresztą, studiuję, ambitnie, uczę się – nie mogę sobie pozwolić na zbyt częste marnowanie czasu. Dobra, wstanę o równej godzinie, założymy o 12.00 – podobno to przynosi szczęście. Tak, jeszcze zdążę jeden odcinek ukochanego serialu obejrzeć i koniec lenistwa na dziś. Zabieram się do roboty! Na szafce nocnej książka od mamy, prezent na Gwiazdkę – fajny upominek. 40 stron na dziś, odpowiednia dawka. Z drugiej strony, jakbym miała w ostatnim czasie czas czy-

tać cokolwiek dla przyjemności. Mama zapomniała chyba, że studiuję, ambitnie, uczę się – to i tak pochłania masę czasu i energii. Ale jestem dzielna. Przescrolluję szybko tablicę na Facebooku, tak szybko – rzucę okiem tylko, należą do tyłu fejsbukowych grup, a nuż ktoś będzie chciał ode mnie coś ważnego. W naszych czasach to główne źródło kontaktu między ludźmi – i dobrze, i źle. Zdaję sobie z tego sprawę, ale takie to nasze pokolenie. Najprościej, najszybciej, najłatwiej. Tacy jesteśmy. Nie podoba mi się to i zawsze mówię to głośno, że niektórzy z tej mojej generacji to potrafią tylko spędzać całe dni, siedząc przy komputerach. Tylko te portale społecznościowe, plotkarskie serwisy, gry – jedno wielkie marnowanie czasu. Wszystko jest dla ludzi, ale z głową! Żyjemy szybko, mamy tak mało czasu. Im jestem starsza, tym ten czas mi mija jakoś szybciej, może dlatego z niczym się nie wyrabiam ostatnio. Hm... Interesująca teoria. Babcia ciągle powtarza, że jeszcze niedawno miała pięćdziesiątkę i chętnie by wróciła do tamtego okresu, jakby jej ktoś magicznie odebrał te 20 lat. Ale zawsze zaznacza, że ja nie odnalazłabym się w tych jej latach 70. Brednie. Rozumiem, owszem, ale przecież teraz też nie jest nam łatwo. Oczywiście, nie mogę porównywać „naszych czasów” do okresu komunizmu, kolejek, pustych półek, ale obecnie też nic z nieba nie spada! Hej! Pobudka! Internet mi zresztą dzisiaj przekazał brutalnie, jakie okropne rzeczy dzieją się na świecie. KLIK. Nieprzyjemne dreszcze. Kręcę głowę z dezaprobatą. W zamrażarce mrożona pizza. Obiad? Sumienie się waha, ale dobrze – od jutra już stuprocentowo (milionprocentowo) koniec z fast foodami. Zawieram umowę z samą sobą. O nie! Śnieg zaczyna padać, a miałam iść do kina. KLIK. Odwołam spotkanie, to pewne. Nie będę marznąć na własne życzenie. Jeszcze nie oszalałam. Dobra, dwa popołudniowe odcinki. Oj, tylko dwa. Ale karcę się w duchu, żeby nie było, że mam słabą wolę. Muszę nadrobić ten sezon, a jestem strasznie w tyle. Zgłodniałam. Spacer z psem? Dobry pomysł. Ale zaraz. CO?! Przecieram zmęczone oczy. Godzina 22.00? Upewniam się trzy razy, czasami też sobie nie ufam. To chyba jakiś żart. W dodatku absolutnie kiepski. Czas mi płynie za szybko, zdecydowanie. Starzeję się. Babcia się nie myli. Niedobrze. Będę biegać od jutra. Nie będę oglądać seriali. Od jutra już mi się uda, tak. Żyć aktywnie w stu procentach. Oj, ale jestem wściekła. Ale trudno. Od jutra dam z siebie wszystko. Dzisiaj już sobie odpuszczę. KLIK.

Made in 90's

Kiedyś było lepiej... Tak, mówi to dwudziestodwulatka, która jeszcze dobrze życia nie poznała, a jednak TAK, uważam, że kiedyś wszystko było prostsze. Chociażby to, jak wyglądało życie dziecka w latach 90. W wieku 5 lat interesowało mnie to, czy znajdę dobrego patyka do wojny na wymaginowane miecze albo czy moja zupa z błota, trawy i mirabelek z sadu będzie smakować rodzicom. Dziś pięciolatki martwią się, czy ich tablety mają wystarczająco fajne aplikacje. Może zaraz odezwie się jeszcze starsze pokolenie ode mnie i powie, że ich czasy były jeszcze lepsze, ponieważ nie mieli luksusów, a gdy dostali pomarańcze na święta, to byli przeschęśliwi. Owszem, rozumiem to, ale moim punktem odniesienia jest to, co znam i sama przeżyłam, czyli wspomniane lata 90.

Czym różnił się ten czas od dzisiejszego? Moje pokolenie pamięta całodniowe zabawy z sąsiadami na osiedlu, granie w piłkę, wspinięcie się na drzewa. Do dziś mogę wyrecytować wierszyki i zabawy, które nauczyły mnie koleżanki z przedszkola, jak: „Pałka, zapałka, dwa kije, kto się nie chowa, ten kryje” lub „Wpadła bomba do piwnicy, napisała na tablicy...”. Mogę tak cytować bez końca, a jak mi pamięć wyćwiczyło takie ciągłe zapamiętywanie! Obecnie moje sześćdziesięcioletnie kuzynostwo posiada telefony komórkowe (bo przecież inne dzieci też już mają, więc nie można być gorszym). Ja swój pierwszy telefon wybłagałam za dobre oceny, mając 13 lat (przynajmniej miałam motywację). No dobra, można to zrzucić na rozwijającą się technologię. Za MOICH dziecięcych czasów Internet dopiero raczkował, a gdy już się rozwinął na tyle, by móc wpłynąć na nasze życie, byłam w gimnazjum, no i wtedy się zaczęło – randki w Internecie. Dopiero po paru tygodniach na Gadu-Gadu ludzie mieli odwagę spotkać się w realu. W sumie wielu osobom zostało to do dziś.

Kiedyś było lepiej... Przecież jak można dziś wychować normalne dzieci, gdy nawet bajki w TV pokazują zdeformowane potwory w niczym nieprzypominające ludzi i zwierząt? Zamiast czytania dobranoczek rodzice fundują maluchom seans wypaczający mózg, a potem takie dziecko bije cię w tramwaju, bo ma ADHD, dysleksję i zespół Tourette'a w jednym. Dokąd ten świat zmierza? Oczywiście nie twierdzę, że moje po-

kolenie jest idealne. Większość znajomych „intelektualistów” wyjechała na studia, bo wierzą, że znajdzie się dla nich praca w Polsce. Ha ha... no dobra, ja też w to wierzę, jeszcze zanim dotrze do mnie, jak wygląda rynek pracy w naszym kraju. No ale jeśli nie w Polsce, to przecież każdy z nas ma jakąś rodzinę w Irlandii, Holandii lub innej części „zjednoczonej” Europy, to nam załatwią jakąś tam pracę. Już teraz rozmawiając z przeciętnym Kowalskim, usłyszysz u niego fifty-fifty języka polskiego i angielskiego, bo to takie modne i światowe.

Kiedyś było lepiej... Obecnie nie istniejesz, jeśli nie masz konta na Facebooku, Twitterze, Instagramie, no bo gdzieś trzeba światu pokazać, jak jesteś ubrany, co jadłeś, z kim piłeś i jak świetnie się bawiłeś, no i jaki fajny jesteś. Wszyscy tak łatwo się sprzedajemy internetom. Dziś zanim z kimś się spotkasz, możesz prześledzić szczegółowo jego przeszłość w Internecie, a najważniejsze to sprawdzić, czy koleżanki z gimnazjum przytyły, zbrzydły, a może już są po ślubie i z dziećmi?

Kiedyś było lepiej... Moje pokolenie na pozór jest miłe, a w rzeczywistości to jeden ogromny wyścig szczurów... Najlepiej się nie wychylać i po cichu robić swoje, bo jeśli ktoś się dowie, ile projektów zrobiłeś, ile kursów zaliczyłeś i czy dobre praktyki znalazłeś, to zaraz znajdzie się ktoś, kto jest lepszy, mocniejszy i silniejszy, ktoś, kto chętnie „przypadkiem” wejdzie na twoje miejsce...

A może kiedyś było lepiej, bo było się dzieckiem i świat był prostszym, miłszym miejscem, gdzie rodzice dbali o to, żeby nikt cię nie skrzywdził?

Piractwo

Moja zapobiegawcza mama, Agnieszka, wymyśliła sobie, że wybierze mi imię, które będzie łatwe do wymówienia w większości krajów na świecie. Dlaczego? Pierwszym powodem były oczywiście kompleksy Agnieszki, która przez wiele lat, spędzonych na emigracji, musiała się ścierać z włoskim ludem, który uparcie mianował ją Aniesko albo Agniese (to ostatnie wydawało się jej znacznie gorsze, bo niemodne w tamtym czasie). Drugim powodem, który wynikał poniekąd z tego pierwszego – i ani wtedy, ani teraz Agnieszka nie zdawała sobie z niego sprawy – było założenie, że mimo stałego przebywania w Polsce odwiedzę w swoim życiu parę krajów i może nawet na tyle często, że kaleczenie mojego imienia mogłoby zacząć mi ciążyć.

I nagle BOOM! 4 czerwca 1989. Agnieszka pomieszkiwała już wtedy w Polsce, mogła więc postawić na swoim i tak się też stało, bo wypychała mnie za granicę, kiedy tylko mogła.

Przejścia graniczne stały przed nami otworem. Eksplozja lat 90., prywatyzacyjny high. Shazza, czarny ciągnik, podopieczni i techno z Ibizy. „Cosmopolitan” i pierwszy Mister Biff, drugi McDonald. Pierwszy rocznik gimnazjum, a określenie gimbusy jeszcze wtedy nas nie dotyczyło. W większości zmaltratowani i wyprani z chęci do nauki, ruszyliśmy do liceum, a tam to samo, tylko ci, którym się stan ducha nie odmienił, mogli liczyć na amnestię. Mieliśmy więcej za darmo. Przed czym się tu buntować? Przed przesytem. Dostaliśmy Internet, komórki, Last.fm, tanie bilety, Naszą Klasę, Grono, Facebooka. Tyle nowych gatunków muzycznych, że nie sposób odpowiedzieć normalnie na pytanie: czego słuchasz?

Wszyscy poszli na studia, bo tak trzeba, i większość się dostała, a ci, co byli mądrzejsi, wyjechali po roku za granicę. Pospolite ruszenie na zmywaki. Nawet próbowano nam wcisnąć, że to niepatriotyczne. Ale tylko przez chwilę, bo abordaż na Wielką Brytanię stał się po pewnym czasie idealnym narzędziem do podkopania wizerunku Bogu ducha winnych polityków. Skąd mogli wiedzieć, że prywatyzacja zaskutkuje tsunami bezrobocia?

Co do patriotyzmu, to poznawaliśmy go z książek. Niektórzy się za mocno przejęli i teraz palą tęczę, inni wcale i dlatego na wybory nie chodzi prawie nikt, co jest dość dziwne.

Czy nam się chce i opłaca protestować? Przecież próby naprawy świata są dla idiotów z Greenpeace'u, a pokolenie naszych dziadków/rodziców, ze skutecznością godną TKS-a (takiego czołgu), udowodniło nam bezcelowość podobnych zapędów. My już nie musimy. Oczywiście, ktoś tam walczy o równouprawnienie i tolerancję (wbrew pozorom nie laktozy), ale to odchyły i dewiacje, spisek żydokomuny w koalicji z lobby gejowskim. Przez to całe równouprawnienie nie można już nawet kichnąć, żeby cię ktoś nie wyzwał od feministek. Ten nowy rodzaj obelgi się sprawdza. Dziewczęta zaczynają wykazywać symptomy posuniętej mizoginii, która z kolei przeszkadza bardziej chłopakom.

O co więc walczymy? (O co wypada walczyć?) O wolny Internet i darmowe filmy, przede wszystkim te pornograficzne (nikt nas nie może rozliczać z tego, co, kiedy i jak kradniemy), o uniewinnienie blogera, który odkrył konserwanty w tatarze, okazjnie walczymy z powodzią i śniegiem, który zawsze nas zimą zaskakuje. Co nas interesuje? Koty, tuningowane audi, hejtowanie wszystkiego, głównie polskich celebrytów.

Oczywiste jest, że kolosalnie różnimy się od pokolenia naszych dziadków i pradiadków. Owszem, wszyscy przeżywalismy młodzieńczy bunt, burzę hormonów, pierwsze miłości i złamane serca. Jednak sposób i okoliczności, w jakich do owych sytuacji dochodzi, są całkiem inne. Jesteśmy pokoleniem, dla którego podstawą interakcji personalnej są rozmowy i stosunki na Facebooku. Dokumentujemy i publikujemy każdy drobiazg naszego życia za pośrednictwem Instagrama. Na bieżąco informujemy wszystkich o swojej opinii za pomocą Twittera... Tylko po co? Czy naprawdę upadliśmy tak nisko, aby Internet, wynalazek, który powinien sprzyjać nawiązywaniu nowych znajomości i usprawnianiu pracy, uczynić ostoją, na której budowane są związki i relacje? Internet jest narzędziem upraszczającym wiele spraw, jednak niektórym zaciera się granica między wirtualnym światem a rzeczywistością.

Kolejnym elementem charakterystycznym dla naszego pokolenia jest niezliczona ilość stylów i kompozycji. Lubimy się wyróżniać, lubimy eksponować swój charakter, chcemy być postrzegani jako niezależni indywidualiści. Bo kto z nas chce zniknąć w tłumie szarych, nijakich ludzi? Każdy z nas reprezentuje jakieś wartości i poglądy. Czy to źle, że chcę pokazywać je za pomocą swojego wyglądu? Nie żyjemy przecież w średniowieczu. Dla przedstawicielki młodego pokolenia, takiej jak ja, rynek pracy, przynajmniej w teorii, powinien stać otworem. Jako bardzo energiczna osoba, lubiąca zmiany i wyzwania, często zmieniam swój wygląd, co niestety jest przeszkodą w znalezieniu zatrudnienia. Kolorowe włosy, piercing czy tatuaże nie powinny być wyznacznikiem mojego profesjonalizmu. Liczą się przecież kompetencje, a nie wygląd.

Wychowując się w XXI wieku, mamy tony możliwości. Żyjemy w wolnym, demokratycznym kraju, ale i tak kładzie się straszny nacisk na przeszłość i historię. Zawszą słyszy się, że gdyby teraz wybuchła wojna, to nie miałby kto walczyć za kraj, że zero w naszym pokoleniu patriotyzmu. Może jest w tym trochę prawdy, ponieważ nie poznaliśmy na własnej skórze terroru innych państw.

Przesadnie upraszczamy wiele spraw za pomocą nowych technologii, jesteśmy mało otwarci na „inność” i nie przywiązujemy dużej wagi do historii. Skupmy się lepiej na przyszłości, aby kolejne pokolenia nie popełniały tych samych błędów.

op
ut

Szukamy?



Do wszystkich fanów selfie i nie tylko!

1. Kiedyś były wojny, wieczna walka o życie, głód, bieda, strach, brak wolności, a co teraz jest? To samo, ale podane na innym talerzu, niby wszystko takie piękne, a tak przerażające!

2. Ten, kto choć raz słyszał o generacji Y (albo: Millennials – to z angielskiego akurat, jak większość słów używanych w naszym pokoleniu), wie, że chodzi o nas, o ludzi, którzy mają wszystko. A może tak naprawdę nic nie mamy?

3. Co my posiadamy? iPhone'y – no, trzeba się trochę polansować; ubrania z sieciówek – zakupy na wyprzedażach są obowiązkowe, wejdź choć raz do H&M; tablet – pójdziesz gdzieś i nawet za złotówkę ci dadzą.

4. Wojna naszych czasów toczy się gdzieś daleko od nas – w otoczeniu wyznawców Allaha. Straszą bombą atomową, ale nas to na pewno nie dotyczy. USA jest naszym obrońcą. No, zobaczymy jak długo.

5. Wojnę to my toczymy między sobą – wojnę na lajki! Wstawiłeś zdjęcie. Kilka minut później nadal nikt nie kliknął „Lubię to”? No i się zaczynają problemy z samooceną. I kto powiedział, że nam tak łatwo żyć w globalnej wiosce?

6. Jesteśmy dobrze poinformowani, wystarczy wejść na fejsa, tam pełno wydarzeń ze świata: nowy związek mojej byłej sąsiadki (byłej, bo mieszka sobie w Australii, ale jestem na bieżąco ze wszystkim). Ooo! Jakie śliczne dziecko urodziła moja koleżanka z podstawówki.

7. Słyszałeś kiedyś o dziubku? Albo o selfie? Na pewno! Psychologowie biją na alarm, że to ostatnie szkodzi zdrowiu psychicznemu. Teraz każdy może być piękny. Jakaś gwiazda wstawia swoje zdjęcie zaraz po obudzeniu. Lajków co niemiara! Piękna cera, te włosy, jakie lśniące, ten super dziubek – na pewno się nasza gwiazda wyspała. Albo użyła odpowiedniego filtra w swoim iPhone.

8. Pokolenie Y to poligłoci. Teraz się miksuje ze sobą języki. Trochę angielskiego, trochę polskiego. Kto mówi „przepraszam”? My w każdym razie mówimy: *sorry*!

9. Pokolenie X miało komunizm. My mamy kapitalizm. Moi rodzice i dziadkowie mówią, że mamy wszystko i cały świat leży u naszych stóp. Jest taka teoria alterglobalistów, że kapitalizm dzieli świat na kraje wyciskiwane i wyciskujące. Ten system ma wiele zalet, ale jak widać, zdania są podzielone.

10. Ale wróćmy do teorii, że mamy niby wszystko. Wykształcenie – to żaden problem, teraz każdy może być magistrem (ale po co?!). Kariera zawodowa – Biedronek jest wiele i bez obaw: umowę-zlecenie otrzymasz na pewno. Pieniądze – co miesiąc 1200 zł. Emerytura – dzięki takiej wypłacie na pewno będzie pokaźna (o ile dożyjesz wieku emerytalnego). Własne mieszkanie – weź kredyt, który będziesz spłacać do końca życia, ale przynajmniej masz swoje cztery kąty. Praca za granicą – w globalnej wiosce mamy pełno takich możliwości, nic, tylko jechać. No więc mamy wszystko, czego tylko dusza zapagnie!

11. Podsumowanie będzie gorzko-słodkie. W naszym wyścigu szczurów nic nie jest pewne. Czy czuję wolność? Tak, przez nią jestem wręcz rozpieszczana. Moi przodkowie nie mieli wolności, ja ją mam, no więc muszę mieć wszystko!

Szukamy, szukamy nowego tematu, nowego rozdziału. Sami jesteśmy poszukiwaniem. Chcemy dużo, chcemy odkrywać, poszerzać, a z drugiej strony jesteśmy na to zbyt leniwi. Mamy teoretycznie – w naszym mniemaniu – już absolutnie wszystko, co mieć można, wszystko podano nam na talerzu rewolucji przeprowadzanych przez naszych rodziców, dziadków, wykładowców. Szukamy więc czegoś, co może być tylko nasze. Ale nie próbujemy tego odnaleźć z energią, zapałem. Trochę bytujemy, trochę się miotamy, trochę udajemy. Wszystko, co mamy, jest nam dane z łaską.

Babcia grzmi, matka grzmi, starsza pani w tramwaju trąbi do ucha. Wszyscy grzmią: „Ja w twoim wieku”, „Ta dzisiejsza młodzież”. Burza rozpętana nad moją głową i ciągłe oczekiwania: zrób coś, zmień coś, dąż do czegoś. Oczekiwania. Tylko że nie do końca chyba wiem, czym jest to magiczne COŚ. Ciągłe tego szukam.

Mam 21 lat, studiuje, odkrywam, poznaję z ciekawością. Ciągłe szukam (słowo klucz) swojej drogi do tego, czym chcę się zająć w życiu. Tylko nie wiem, CZYM ma być to upragnione coś. Najłatwiej byłoby tak naprawdę wpasować się w klasyczny szablon: studia, praca, rodzina, dzieci, emerytura i trumna. Tylko że TO jest nie do końca TO, czego chcę, jestem przekonana, że owo mityczne TO/COŚ kiedyś znajdę, odkryję i nic już nie będzie takie samo. Muszę TO tylko odnaleźć z dala od ciągłych transmisji szmatławych piosenek w radiu, ludzi, którzy z bezmyślnością rybki w akwarium zarzucają mnie na portalach społecznościowych informacjami o kolejnych ślubach, treści ich śniadania/obiadu itd. Tego wszystkiego jest za dużo, po prostu za dużo. Zarzuca się nam jako pokoleniu, że to nasze odkrycia, wszystko, z czego korzystamy. Nie zgodzę się z tym.

My, wy, oni – zero w tym zgodności, zero jakiegokolwiek ciągłości. Młode pokolenie vs. stare pokolenie. Oczekujecie, czekacie, wypytujecie. A tak naprawdę nic dla nas nie zostawiliście, wszystko, co było rażące, w jakikolwiek sposób ugniatające komfort psychiczny – zwalczyliście dla nas. Wydawać by się mogło, że mamy wolność słowa, myśli, masę jedzenia w sklepach, dostęp do wszystkiego, czego dusza zapagnie, ba, nawet możliwość głośnego wyrażania niezadowolenia na wszystko i wszystkich. Co z tego, skoro zostaliśmy właśnie przez was nauczeni przyjmowania wszystkiego, nieuczenia się na błędach, a każda nasza porażka jest piętnowana. Nie do końca wiem, jak w takim społeczeństwie może wyrosnąć obywatel myślący oportunistycznie. Jesteśmy

zagłuszeni przez ogrom rzeczywistości, która została nam podana na złotej tacy. Przez stojące po drugiej stronie barykady starsze pokolenie.

Wiem, że tak było zawsze. Zawsze pokolenie młode i starsze wchodziło w konflikt. Tylko że zawsze mieliście o co walczyć, musieliście być elastyczni, kreować swoją własną rzeczywistość. Wygoda nie uczy elastyczności, uczy lenistwa i opieszaństwa. Mamy wszystko (tak się wydaje większości z nas), ale chyba przez to nie mamy nic. Nie mamy żadnych podniosłych idei, w związku z tym nie mamy o co walczyć. Co z tego, że duża część z nas chce. Szuka, odkrywa. Dalej będziemy postrzegani przez pryzmat tego, co robi ogół.

Lenistwo (opieszałość), a z drugiej strony chęć zmian. Krótkowzroczność, ale jednocześnie próba poszerzania horyzontów. Zapał, ale słomiany. Energia, entuzjazm (przecież jesteśmy młodzi!), ale jednocześnie maruderstwo i ciągłe niezadowolenie. Jesteśmy jako pokolenie sprzecznościami, jesteśmy odnajdywaniem samych siebie.

Łatwiej, prościej, szybciej. Domena naszych czasów, określenie pewnego poziomu, pewnej wyższości. Kto nie chciałby na co dzień ułatwiać sobie zadań, by móc je wykonać w krótszym czasie? Większość. Większość również nie dostrzega negatywnych aspektów takiego życia i działania. Łatwiej, szybciej, prościej. Enter i już wysłane. Ilu ludzi tak działa? Ilu widzi w tym coś zbawionego, coś, co oszczędza nasz jakże cenny czas, który później trwonimy bezmyślnie i bezsensownie? Oszczędzamy czas na zadaniach, pracach, obowiązkach, a nawet na naszych pasjach, śpiesząc się i nie poświęcając im uwagi.

Pasje, przyjemności, chwile dla siebie. Tu również nie jesteśmy szczodrzy i zdolni do poświęceń. Bierność – to lubimy najbardziej. Pasywne marnotrawstwo czasu, w tym jesteśmy mistrzami. Otaczamy się rzeczami, które nie przypominają nam o tym i zachęcają, by się im oddać bez pamięci. Pamięci o tym, co zaniedbaliśmy, o tym, co kochamy robić (nie obędzie się bez „ale”), ale musimy wstać, musimy się zmęczyć, zdenerwować, gdy coś nie wychodzi.

Mamy to, co chcemy, mamy czas i mamy produkt stworzony na skrót, z oszczędnością skąpca. Co nam jednak zostaje naprawdę? Kłamstwo, bo musimy nieustannie oszukiwać się, że to, co robimy, nas satysfakcjonuje. Wystarcza do szczęścia. W pracy czy nawet z obowiązku jest to wybaczone, akceptowalne.

Poświęcenie, pełne mistycyzmu, przybrało postać wręcz nieosiągalną dla „zwykłego śmiertelnika”. A to właśnie ono sprawia, że coś ma sens, jaki by on nie był. To właśnie ono nadaje rzeczom niepowtarzalność. Poświęcenie – to właśnie tego nam brakuje w codzienności.

ŁATWIEJ,
PROŚCIEJ, ~~N~~ LEPIEJ
SZYBCIEJ.



Manifest mojego pokolenia

Lata, w których dorastałem, czyli lata 90., według mnie stanowiły w Polsce ważny okres w wychowywaniu dzieci, ponieważ rodzice, i przez to również i dzieci, starali się doścignąć wzór życia na Zachodzie. Ludzie zaczęli obejmować wyższe stanowiska, ponad wartości rodziny przedkładali wartości pracy i samorealizacji.

Mnie i moich rówieśników postrzegam jako osoby, które jedną nogą są jeszcze po stronie, gdzie były wpajane takie wartości jak szacunek, rodzina i przyjaźń. Drugą nogą natomiast jesteśmy w świecie globalizacji i mimo że każdy był wychowywany w inny sposób, to nasze zachowania w sieci są identyczne, w wyniku czego każdy jest taki sam. Na przykład 90% osób, które znam, ma Facebooka i czasami sam po sobie widzę, jak łatwo i bezrefleksyjnie marnuje się czas w sieci. Bardzo dużo czasu poświęcamy znajomościom wirtualnym, zamiast po prostu wyjść z kimś na piwo lub ruszyć się z domu i zrobić ukochanej wizytę niespodziankę, zamiast wysłać wirtualne serduszka. Mam wrażenie, że łatwiej nam okazywać uczucia przez Internet niż na żywo, ponieważ w sieci czujemy się bezpieczniej, a czasami nawet bezkarnie i anonimowo.

Z drugiej strony czas poświęcony surfowaniu w Internecie nie idzie w większości na marne. Poprzez portale społecznościowe oraz informacyjne dowiadujemy się o nowych modach, trendach i zwyczajach, które przybywają z innych krajów. Poprzez takie działania mamy możliwość poszerzania naszej wiedzy i świadomości jak żadne inne pokolenie do tej pory. Jesteśmy coraz bardziej świadomi swojej roli społecznej i swoich wartości, w wyniku czego rosną nasze oczekiwania względem dalszych etapów naszego życia. Jesteśmy w stanie precyzyjniej określać swoje cele i wybierać drogę, jak je osiągać, lecz w przeciwieństwie do Zachodu, na którym się w większości wzorujemy, musimy pracować więcej, żeby zarobić taką samą ilość pieniędzy.

Tempo życia mojego pokolenia jest coraz szybsze, ponieważ jesteśmy podczas ostatniego etapu edukacji, a zaraz po tym czeka nas mniej lub bardziej wymarzona

praca. Osobiście chciałbym, żeby doba trwała co najmniej 30 godzin, bo wtedy mógłbym się trochę wyspać.

Mój manifest można zakończyć stwierdzeniem: Jesteśmy materialistami, którzy mają nieograniczony dostęp do wiedzy, lecz marnujemy czas na jej złe wykorzystywanie.

Manifest. Wzorowany na tekście przeczytanym do połowy

0. Mówią, że licealiści kiedyś byli bardziej kompetentni od dzisiejszych studentów. Ja przynajmniej studiuje dwa kierunki. Mówią, że tymi papierkami to i tak sobie można podtrzeć i że lepiej studiować jedno, a dobrze, albo od razu iść do pracy. W wakacje trochę pracuję. Fizycznie. Na Zachodzie, oczywiście. Ale, jak to mówią – studenci dorabiają, żeby mieć na alkohol i dziewczyny w ciągu roku. Na alkohol mam. Resztę odkładam na później.

1. No ale mówię: jestem studentem. Mimo to – dla świętego spokoju. Zresztą Oni i tak myślą, że nas ktoś uczy mądrych rzeczy. Tylko my leniwi. Ilu polskich królów pochowanych jest na Wawelu? No nie wiem. Ideałów też nie mam. I rewolucje nam w głowach. Chcemy obalić normalność. Biegać na golasa przez miasto i machać Im fujarami przed twarzą. A Oni tego sobie nie życzą. Mają swoje prawa. Obyśmy kiedyś zmądrzeli.

2. Bóg, Honor i Ojczyzna wywołują u mnie mdłości. Ale zestaw z Big Maca (Frytki, Cola i Kanapka) też. Przeważnie w soboty, jak wracam. Już nie mam swoich ulubionych miejsc do z nich wracania. We wszystkich chcieli naprawiać świat. Ja też. Pretensjami. Ja też. Nie wyszło. No to ja już nie wiem.

2.1. Zresztą, coraz więcej znajomych (na początku kariery) zarabia już po kilka tysięcy i nie ma czasu. Kilka tysięcy, co im kiedyś wróżyli Ci, co Mówią: jeśli się będą uczyć. Nie uczyli się. Dobrze wypadli na assessment center. Oni o tym nie wiedzą.

3. Tato coś o mnie wie. Mało. Cieszy się, że nie myślę, że ten system jest lepszy od poprzedniego. Bo teraz to złodzieje u władzy. Chciałby, żebym z nim serwisował kołtownie. Rozwinął biznes – dobrych specjalistów mało. I ja też bym chciał.

3.1. Ale tato też nie wie, kto to John Cage i Duchamp (imienia nie pamiętam) i że ich wielkie onegdaj idee nawet dla mnie są dzisiaj pretensjonalnymi banałami. Tymi, co byli wcześniej, dumnie się nie interesuję. Jest za późno na serwisowanie kotłów. Tato jeszcze trochę dorzuca. Póki może.

4. Dziadek (inny) myśli, że poprzedni system był zdradziecki-radziecki. Ignoruję już jego pytania o datę bitwy pod Grunwaldem. Nie biorę tekstów z „Naszego Dziennika”. Kiedyś myślałem, że do tego wszystkiego dojrzeję. Potem zacząłem mieć to w dupie. Niektórzy koledzy dojrzelili.

4.1. Jakby dziadek za młodu stworzył inny świat, tobym mu powiedział, jak kasować pornole z historii przeglądarki. No ale nie stworzył. I jest niewygodne tabu. Bo walczył, jak zwykle. A stworzył, z innymi pradziadkami tego świata, McDonalda (po którym mnie mdli). I niech mi któryś z nich powie, że mam być z tego dumny. Że czasy były inne, jedzenia było mało, a Oni walczyli. No tak, Biedronki nie mieli. A gdyby Hitler wygrał? Ludzie by się dzisiaj nie kochali? Zabijali? Albo gdyby komuna nie upadła? Ale przegrał. I upadła. Bo Wygrali. I każą nam kwiaty składać, bo nie wolno nam zapomnieć. Trzeba nas wyrwać sprzed komputera. Trzeba coś zrobić, żebyśmy docenili, bo my to dzisiaj wszystko mamy. Oni kiedyś tylko raz do roku czekoladę. Nie było nadwagi.

5. Teraz w domu siedzę (wynajętym, jeśli to ważne). I niech mi żaden, co dojrzał, nie mówi, co mam robić. Bo nie robię nic, panie i panowie. Siedzę w Internecie i trochę na Fejsbuku. Gapiąc się w monitor, nie wiedząc nic o świecie. Choć podróżować ponoć lubię. Może i z twarzą na ekranie. No ale wiem, jak skasować historię przeglądania – bo taki świat. Mam Wikipedię. Mógłbym wiedzieć wszystko. Wtedy mówią, że im powiedzieli, że Wikipedia nierzetelna. Boże, chyba umiem sprawdzić źródła.

6. Można by wyjść na ulice, walczyć. Niebezpiecznie. Lepiej po adrenalinę pojechać w góry, na snowboard. Z walki wyjdzie znowu McDonald. Ulic też nie załatamy. Za to jeden filtr na Instagramie zdziała sporo. I znowu się oburzają. Wszyscy. Że kicz nas zalewa. Że to nie sztuka. To nie Dalí. Zdjęcie profilowe zretuszowane.

7. Boją się. Że im porządek zniszczymy. To ostrzegają, regulują. Kiedyś tylko godzina grania dziennie była, dzisiaj to już nie działa. Więc dogadują się z ponoć rządzącymi, żeby uregulować. Boją się. Ja ich rozumiem. Nie chcą człowieka do cyferek zredukować. Bo nie tak to znają. Wolą literki.

Osiem: no to mają.

9. Nigdy nie znalazłem wątku, bo nigdy go nie było. Nie znam się, nie mam zdania.
Mógłbym mieć każde. Nie muszę być już człowiekiem. Nie muszę pisać.

Będzie, jak będzie.

Jest, jak jest.



1652

ŁATWIEJ,
PROŚCIEJ,
SZYBCIEJ.  LEPIEJ

Manifest mojego pokolenia, tęsknota za spokojem

Wszystko pędzi w swoim tempie. Zbyt szybkim tempie. Nie pamiętam, kiedy miałam ostatnio wolny dzień. Rano uczelnia, po południu praca, wieczorem tylko kolacja i sen. Każdy dzień wygląda tak samo. Jeszcze chwilę temu było lato, a już mamy Nowy Rok i „wiosnę”. Od samego początku ludzie gonią za pieniędzmi. Ciężko im się dziwić, trzeba z czegoś żyć. Kariera przedkładana jest nad najważniejsze wartości. Rodzina, miłość.

Wszystko pędzi w swoim tempie. Związki rozpadają się w mgnieniu oka. Miłość w tych czasach ogranicza się tylko do dobrego interesu. Każdy chce ugrać jak najwięcej dla siebie. Pokolenie egoistów.

Pokolenie egoistów goniących za swoimi marzeniami. Totalny brak wrażliwości. Brak wrażliwości na innych ludzi, którzy nas otaczają. Nikt nie chce zostać wyśmiany, nikt nie wypowiada swojego faktycznego zdania, poglądu. Chcemy podobać się innym, wszystko robimy pod publikę. Nikt już chyba nie pokazuje swojej prawdziwej twarzy. Albo zostanie wyśmiany, albo oberwie.

Nie mamy czasu na spotkania z przyjaciółmi. A gdy nadarzy się chwila wolnego, zamiast wyjść do kina, do pubu, wolimy popisać na Facebooku. Wirtualne znajomości stały się ważniejsze od prawdziwych relacji z drugim człowiekiem. W sieci możemy udawać kogoś zupełnie innego. Nikt przecież nie widzi naszych reakcji, mamy czas, żeby wszystko dokładnie przemyśleć i ułożyć w jedną, nieprawdziwą całość.

Wszystko pędzi w swoim tempie. Jednak w tym wirze zdarzeń warto odnaleźć siebie. Zastanowić się nad tym, jakim człowiekiem jestem. Co mogę zmienić, co mogę zrobić lepiej i co mogę naprawić. Mamy teraz czas, aby ukształtować swój światopogląd i wybrać, jakimi wartościami chcemy kierować się w przyszłości, w codziennym życiu.

Manifest pokolenia przełomu wieków

Oto JA, członek pokolenia przełomu wieków. Ja, studentka Dziennikarstwa i Komunikacji Społecznej. Absolwentka I Liceum Ogólnokształcącego w Gorzowie Wielkopolskim. Tak! Jedna z wielu osób w przyszłości bezrobotnych bądź pracujących w McDonalddie (pomimo wyższego wykształcenia!).

My, pokolenie urodzone na początku zmian ustrojowych obecnej Polski, jesteśmy pokoleniem, któremu tak naprawdę nie mogło przydarzyć się nic gorszego. Ciągłe zmiany, zwłaszcza w edukacji, powodują, że choćby poziom Naszego wykształcenia jest coraz gorszy (tak, można się w tym momencie zgodzić z nazwą popularnego programu internetowego „matura to bzdura”). Studiujemy tylko dlatego, że tak właściwie nikt nie wie, co można z nami obecnie zrobić...

Chociaż faktem jest, to że Nasze pokolenie jest uprzywilejowane i wolne, bo tak na dobrą sprawę cały ŚWIAT stoi przed Nami otworem. Nie to, co w czasach Naszych rodziców, którzy nie mieli nawet swoich paszportów. Tak, teraz nie ma problemów z tym, żeby wyjechać za granicę. Tylko czy o to Nam Polakom właśnie chodzi?! Wyjeżdżamy, MY młodzi, ale raczej nie dlatego, żeby zwiedzać świat, tylko emigrujemy w poszukiwaniu lepszego życia dla Nas i Naszych rodzin.

A gdzie w tym wszystkim Polska? Tak, to dobre pytanie. Polska...

To kraj, w którym nadal nie zakończył się okres transformacji. Nadal szukamy drogi, która pozwoli Nam wejść na poziom Zachodu. Trochę długo, ale nie okłamujemy się. Nikt nie mówił, że to będzie szybkie i łatwe. Mieliśmy tego świadomość, a właściwie Nasi dziadkowie i rodzice. Tylko czy wszystko idzie w tym kierunku, w którym powinno? Pewnie nie, ale zmiany nigdy nie są dokładnie takie, jak się zakładało na początku... Są trudne.

Tyle że nie wszystko, co dzieje się obecnie, jest zgodne z tym, czego oni chcieli, walcząc ramię w ramię przeciwko komunistycznej władzy. Nie, nikt z nich zapewne nie spodzie-

wał się, że na transformacji zyskają głównie przedsiębiorcy umiejętnie wykorzystujący luki prawne, których po zmianie systemu było aż nadto.

Wprawdzie na pewno jesteśmy w dużo lepszym położeniu niż na przykład Ukraina lub Rosja. Tak, Nam bliżej do Ameryki i Zachodu. Nie musimy walczyć z „totalitarną” władzą. Robimy tylko błędy, nie skupiając się na ludziach, ponieważ ci ludzie na pewno nie chcą i nie chcieli niesprawnej służby zdrowia, dla której bardziej liczą się pieniądze niż zdrowie człowieka.

Tak samo jak nie chcieli wiecznych walk na scenie politycznej, na które poświęca się większość czasu, zamiast zadbać o strukturę zatrudnienia i oświatę. Zmiany na pewno są dobre, ale żeby DOBRO z nich wynikające było realne, powinny się one skupiać na wartościach najważniejszych dla ludzi. Na godności, wolności i równości wszystkich, a nie tylko elit, klas uprzywilejowanych. Ponieważ mają one nieść za sobą korzyści dla całego społeczeństwa, które w państwie powinno być najważniejsze.

Pomimo całego wachlarza atutów współczesnej Polski – czyli wspomnianego wcześniej świata, który stoi przed Nami otworem, nadal nie mamy pewności najważniejszej – jak myślę – rzeczy. Pewności godnej przyszłości.

Bo tak naprawdę, jeśli mamy zapewnioną pracę i godne życie, to nic więcej nie potrzebujemy. Nie byłoby wtedy tak „popularnej” – że tak to ujmę – emigracji, bo po co.

Tak, jestem patriotką i chciałabym nie musieć wyjeżdżać za pracą za granicę. Chciałabym również, żeby moje studia dały mi wykształcenie, które umożliwiłoby mi nie tylko pracę w przysłowiowym McDonalddie.

Manifest mojego pokolenia, pokolenia '94

Jesteśmy młodym pokoleniem. Dorastaliśmy w nowych czasach, nie znamy długoletniej tęsknoty za ojczyzną, kolejek przed sklepem ciągnących się jeszcze dwie ulice dalej, mandarynki, pomarańcze i czekolada są dla nas codziennością.

Często jesteśmy butni, naburmuszeni, myślimy, że zasługujemy na wszystko, co najlepsze. Zdarza nam się być leniwymi. Z gustem muzycznym przeszliśmy od Britney Spears i US5 przez Lady Gagę do Justina Biebera, odnajdując po drodze prawdziwe perełki. Jadamy w fast foodach, pijemy kawę ze znanych dyskontów. W naszym pokoleniu był wysyp tzw. hipsterów i indywidualności.

Wydawałoby się, że jesteśmy inni niż wcześniejsze pokolenia. Jednak, w moim odczuciu, w wieku przedmaturalnym zmieniamy się. Zaczynamy interesować się tym, co było. Nabieramy szacunku do tradycji, historii. Mówimy o tym, jak ma być. Z przerażeniem słuchamy przewidywań na temat naszych emerytur. Boimy się o pracę, dostęp do służby zdrowia. Chcemy założyć rodziny i zagwarantować im życie na godnym poziomie.

To nie my się różnimy. To czasy się zmieniły.

My też walczyliśmy. Chcemy tego samego, co pokolenia wcześniejsze: godnego życia. Chcemy żyć swobodnie, robiąc w życiu to, co chcemy. Choć bywamy pokoleniem siedzącym, marnującym często czas przed telewizorami czy komputerami. W autobusach czy tramwajach jesteśmy wpatrzeni w nasze smartfony, tablety, czasami nawet laptopy. Bez słuchawek nie ruszamy się z domu, a na zajęcia czy lekcje przychodzimy z kubkami termicznymi. Nie znaczy to, że nie widzimy i nie słyszymy.

Z moich przemyśleń wynika, że jesteśmy pokoleniem ukrytym. Jesteśmy świadomi, choć nie zawsze inni to zauważają. Przechodzimy własną drogę inaczej, niż przechodzili inni.

To czasy się zmieniły, nie ludzie. To daje mi nadzieję, że i moje pokolenie dokona w przyszłości czegoś dobrego.

My, pokolenie urodzone w roku pierwszych odcinków „Mody na sukces” i „Śmiechu warte”. Mający potrzeby i marzenia, na które musimy sami ciężko zapracować. Żyjący na podwórku z kolegami, bawiący się w chowanego i grający w klasy przed blokiem. Zbuntowani, ale zdeterminowani do działania. Oburzeni na dzisiejsze czasy życia w Internecie, dzieci z iPadami pod pachą zamiast z książką i tysiącami na lokatach od dziadków. Czy czujemy się przez to gorsi, inni? Nie, jesteśmy dumni z tego, że to nie nas spotkało takie życie i mogliśmy żyć z innymi w realnym świecie, a nie tym wirtualnym. Ba, nie chcemy, aby to nasze dzieci żyły w takim świecie, i do tego staramy się dążyć. Chcemy zmian!

My, pokolenie ostatnich normalnych spotkań, chcemy zmian! Chcemy, aby ludzie byli dla siebie tak samo mili jak kiedyś. By każdy mówił o tym, co myśli, nie w Internecie, a prosto w twarz. Kiedyś było tak można, czemu teraz każdy jest szczerzy, ale anonimowo? Nie chcemy tego. Chcemy, aby nie było złości i nienawiści z powodu lepszego powodzenia w życiu zawodowym czy prywatnym, a jedynie radość z tego, że komuś się udało. Przecież każdy na to pracuje sam. To rodzice walczyli o wolność dla nas, a teraz to wszystko zanika. Zanika mówienie o trudnych rzeczach, trudne zobaczymy jedynie sprawy w telewizji na przykładach głupich seriali, które bardziej są śmieszne niż przedstawiają realne życie. Wolność jest dla nas bardzo ważna, chcemy móc robić to, na co mamy ochotę, a nie to, co wypada. Chcemy móc pokazać innym siebie i nie być za to linczowanym przez innych. Przecież o to chodzi, aby być innym, wyróżniać się, a nie robić wszystko to, co robią inni. Mówiono nam: „możesz wszystko”. Bzdura. Teraz każdy robi to, co inni uważają za słuszne, bo boi się krytyki ze strony innych. Ale po co to wszystko?

Po co my, pokolenie tej wolności, odbiegamy od tego? Pozwólmy żyć swoim życiem każdemu, nie wytykajmy błędów, ale uczmy się na błędach swoich i innych. Pozwólmy się otworzyć każdemu. Chcemy tego – wszyscy. Wszyscy mamy marzenia, które w obecnych czasach ciężko nam zrealizować, ale dążymy do tego. Staramy się żyć, tak by być zadowolonymi z tego życia. Chcemy, aby każdy miał do tego prawo, również nasze dzieci. Nie zgadzamy się na prezenty komunijne, które swoją wartością przewyższają miesięczne wynagrodzenie niejednej osoby, na które musi ciężko harować na budowie. Chcemy skromności i dobrego życia dla naszych potomków. Nie zgadzamy się na życie, które kręci się wokół plotek, gier online i dużej zawartości kieszeni.

Pragniemy tworzyć rodziny według starych schematów. Chcemy być razem, a nie 1000 km od naszej wielkiej miłości, która musi pracować, aby nam było lepiej. Chcemy wszystko robić razem, cieszyć się i płakać. Potrzebujemy bliskości, by czuć, że jesteśmy ważni nie dla wszystkich, ale dla tych właściwych osób. Potrafimy płakać po stracie bliskich i nie dzielić się tym z całym światem, z czego jesteśmy dumni.

Nie podobają nam się obietnice składane przez rząd i próby podejmowania jakichkolwiek działań, bo wkrótce wybory. Chcemy, żeby obietnice zostały spełnione, a nie tylko wypowiedziane. Nie podoba nam się, że nie ma dla nas pracy mimo wykształcenia. Że jako młodzi ludzie jesteśmy traktowani gorzej, bo nie mamy doświadczenia, no ale jak je zdobyć tutaj? Chcemy, żeby ci postawieni wyżej w końcu spojrzeli na świat naszymi oczami i postawili się na naszym miejscu.

My, mieszkający po kilka osób w kilkunastometrowych mieszkaniach, chcemy, aby przyszłość była inna. Chcemy czasów jak kiedyś, kiedy mogliśmy wykrzyczeć sobie wszystko w twarz, a potem i tak byliśmy razem. Chcemy dawać sobie kolejne szanse. Potrzebujemy uśmiechających się ludzi na ulicach, życzliwości, a nie nienawiści. Czujemy się silni i o to wszystko będziemy walczyć do końca.

Moje pokolenie to pokolenie ludzi urodzonych w latach 90., już w postkomunistycznej, wolnej Polsce. Typowy przedstawiciel mojego pokolenia posiada bardzo wiele, ale chce mieć jeszcze więcej. Wszelkiego rodzaju gadżety, najnowsze smartfony, konsole, iPady i tego typu urządzenia są wręcz niezbędne w życiu młodego człowieka. Każdy musi mieć konto na Facebooku, Twitterze, mieć Snapchata, Tindera i sto innych aplikacji – bez tego nie istnieje w świecie, po prostu go nie ma. Korzystając z nich, często odsuwa się od realnego życia i problemów z nim związanych. Żyje w swoim własnym, wyimaginowanym świecie, co powoduje, że gdy wchodzi już w okres samodzielności, ciężko jest mu sobie radzić z problemami dorosłego życia. Czuje parcie ze strony otoczenia, znajomych, aby każdą chwilę swojego życia relacjonować publicznie w Internecie. Rodzina, choć jest dla niego wielkim oparciem, często stawiana jest na drugim planie. Nie docenia wystarczająco wartości rodzinnych, przeciwstawia się rodzicom, chce za wszelką cenę sam decydować o swojej przyszłości. Jednak dosyć szybko przekonuje się o tym, że bez wsparcia i pomocy bliskich nie da sobie rady.

Jego poglądy polityczne są liberalne. Obstaje za zalegalizowaniem marihuany, związkami partnerskimi, walką z Kościołem, wolnością w Internecie. Jednak gdy nadchodzi czas ważnych decyzji, wyborów, okazuje się, że życie polityczne go nie interesuje i nie ma zamiaru postarać się zmienić cokolwiek w Polsce. W ostateczności uważa, że wszystko jest dobrze tak, jak jest. Polska za jego życia weszła przecież do Unii Europejskiej, sklepy są pełne towaru, jest powszechnie obowiązująca demokracja. Moje pokolenie dotyka jednak wiele problemów gospodarczych i ekonomicznych. Bezrobocie, emigracja, niskie zarobki, brak perspektyw, problemy finansowe, które uniemożliwiają rozpoczęcie samodzielnego życia na „własny rachunek”, frustracja i podejmowanie bardzo trudnych decyzji dotyczących przyszłości – to tylko niektóre problemy, z którymi borykają się młodzi ludzie.

Patriotyzm, tradycja, rodzina, Kościół, wartości moralne – to słowa, do których moje pokolenie przywiązuje coraz mniejszą wagę. Często przymus opuszczenia kraju w celu zarobkowym nie sprzyja budowaniu i podtrzymywaniu nastrojów patriotycznych. Odcinamy od tradycji i rodziny, bo media i zachodnia kultura serwują nam zupełnie inny model życia – podążanie za własnymi ambicjami, karierę za wszelką cenę, postawienie w pierwszej kolejności na pracę, a nie na rodzinę. Polska chce podążać za zachodnimi wzorcami, młodzi ludzie także. Lecz w Polsce bardzo ciężko jest zdobyć dobrą pracę,

nawet mając wyższe wykształcenie, znając języki. Frustruje to młodych ludzi, zniechęca do pozostania w kraju, uważają to za niesprawiedliwe. W ostateczności podejmują się prac dorywczych lub zupełnie niezwiązanych z wykształceniem, umiejętnościami i zainteresowaniami. Wiedzą, że bez tego nie zdobędą doświadczenia wymaganego przez pracodawców.

Moje pokolenie to pokolenie przełomowe, które musi dostosować się do realiów współczesnego świata, ciągle konkurować na wielu polach życia, jeśli chodzi o karierę, zarobki, wykształcenie, znajomości, prezencję. Czujemy zewsząd presję, że mamy być najlepsi, robić więcej, lepiej, czasami ponad nasze możliwości. Świat jednak ciągle gna do przodu, a my musimy dotrzymać mu kroku.

My młodzi ludzie, tak bardzo zabiegani we współczesnym świecie, nie mamy czasu na nawiązywanie realnych znajomości. Pochłania nas praca, uczelnia i impreza. Jedyną alternatywą jest Internet. Na wszelakich portalach możemy znaleźć ludzi, którzy szukają przyjaźni bądź miłości. W wielu przypadkach zdarza się tak, że po drugiej stronie monitora znajduje się zupełnie ktoś inny niż na zdjęciach. Takie sytuacje sprawiają, że zmniejsza się nasze zaufanie w stosunku do innych, co powoduje jeszcze większe odcięcie od realnego świata. Dlatego apelujemy o większą ostrożność i rozwagę. Chrońmy bliskich, bowiem fejki tak szybko się mnożą.



Jak dwa razy dwa jestem i ja („polski rodowód w aktach”)

Przemyśleń było dużo, ale ten czas dawno minął. Szkoda, bo pewnie teraz napisałabym coś mądrzejszego albo ciekawszego. Teraz mogę napisać tylko, że ciągle coś się dzieje i ciągle się powtarza. Tyle walczyli, tyle się działo (czytam tekst profesora Tomasza Stępnia) i nic się nie stało.

My. Moje pokolenie. Obudziliśmy się z ręką w nocniku – pełnym. To jeszcze gorzej, a na pewno obrzydliwie. A mówią, że podstawowe zadanie to nie ugrzęznąć w gównie. Za późno? Mówią też, że nigdy nie jest za późno.

Terrorysta, alkoholik, narkoman, pracoholik, psychol, polityk, wampir energetyczny, maszynka narzekania, maszynka „made in China”. Cechy homo sapiens XXI wieku.

Terrorysta. Bo niektórzy nie potrafią pokonać w sobie zła. Nie tylko Al-Kaida, ale też ten pan, który skatował i zgwałcił jedenastoletnią dziewczynkę. A może też ty? A może ja? Alkoholik, narkoman, pracoholik. Bo niektórzy wolą iluzję.

Psychol. Bo niektórzy... Każdy nim jest.

Polityk. Każdy nim jest – przed telewizorem i w kolejce w sklepie. Liczymy na cuda, omamieni demokracją. Nie gadajmy, róbmy.

Wampir energetyczny, maszynka narzekania. Żle nie jest, dobrze wcale. I jeden drugiemu życie obrzydza bez powodu.

Maszynka „made in China”. „This Vodka has been manufactured to an old russian recipe” (profesor Tomasz Stępień). Dziś: „This Vodka is made in China”. Historia zatoczyła koło.

Mówiłam, że z ręką w nocniku...

PS Jestem szczęśliwa!

Bo mam rodzinę, dom, względne zdrowie. Jestem oryginałem. Odnalazłam cel i sens w życiu. Wierzę. Na tacę nie daję, a wspieram WOŚP. Ale wierzę. Jest gdzieś coś więcej, coś lepiej i wyżej. Bez terrorysty, polityka i psychologa. I to mi pomaga, bardzo.

Za dużo mamy udogodnień. Wszystko w zasięgu ręki. Rozleniwieni i przez to beczynni. Moje pokolenie. Nie wiem, co w tym kraju jest OK, choć nie jest za późno, żeby chcieć chcieć.

Sobota. Wstałem o 12.00. Musiałem się wyspać po piątkowej imprezie ze znajomymi w pubie. Zrobiłem sobie na śniadanie dwa tosty, bo są banalne w przygotowaniu i nawet smaczne. Włączam kompa i zaczynam jeść śniadanie. Zresztą większość posiłków jem przy komputerze.

Na początek Facebook. Muszę sprawdzić, co polajkowali znajomi, i sprawdzić, czy ktoś czasem do mnie czegoś nie napisał. Gdy scrolluję do postów, które widziałem już wczoraj, przerucam się na YouTube'a. Oglądam, jak niektórzy ludzie w filmikach robią z siebie debili, manifestując swoje poglądy. Ciężko teraz trafić na ciekawy filmik w Internecie, same wycięte scenki ze „śmiesznych” wpadek, które wielokrotnie się powtarzają, albo tańczące koty w przebraniach. W końcu znalazłem coś ciekawego. Chciałem wypowiedzieć się na temat filmiku w komentarzu, wcześniej jednak zerknąłem, co ludzie piszą. Doszedłem do wniosku, że nie istnieje coś takiego jak konstruktywna krytyka. Obrzucają się inwektywami, brudami i pseudoargumentami. Zdaję sobie sprawę, że przy większości filmików można spotkać się z taką falą hejtu, nienawiści, więc podarowałem sobie wyrażenie własnej opinii, bo jeszcze ktoś by się do mnie przyczepił i wylał z siebie całe chamstwo, a nie chcę psuć sobie dnia.

Godzina już popołudniowa, więc wypadałoby coś zjeść, ale nie chce mi się gotować. Po pierwsze, bo w lodówce pusto i trzeba by iść do sklepu, a po drugie nie umiem zrobić niczego dobrego, zjadliwego. Ubieram się zatem i idę w kierunku rynku. Mam dzisiaj ochotę na burgera, to może Rock Burger na Szewskiej. Słyszałem od znajomych, że mają tam całkiem dobre burgery.

Dotarłem do celu. Po 10 minutach dostałem swoje zamówienie. Przed zjedzeniem cykam fotkę na Instagrama. Oznaczam miejsce i zaczynam wpisywać „#”#Wroclaw #dinner #burger #RockBurger #instafood #weekend. Do zdjęcia dopasowuję jakiś ładny filtr, wrzucam fotkę i jedząc mojego burgera, patrzę, ile lajczków przychodzi. Hmm... nie jest tak źle, ale bywało lepiej – pomyślałem.

Kiedy wracałem do domu, napisał do mnie znajomy z opcją wyjścia wieczorem na miasto...

Kinga Mojszewicz

Generacja 21

Żłobek – angielski

Przedszkole – angielski, niemiecki

Podstawówka – angielski, niemiecki, basen

Gimnazjum – angielski, niemiecki, basen, C++

Liceum – angielski, niemiecki, basen, C++, korepetycje z matematyki

Studia – imprezy, narkotyki, doświadczanie niedoświadczzonego

KIM JESTEM?

Kredo

Nie.

1. Problemy

Jako człowiek kształcony widzę, że wykształcenie jest zbyt osiągalne. Zbyt wiele nieodpowiednich ludzi ma dostęp do wyższej edukacji. Jestem kształcony wszechstronnie, więc potrafię dostrzegać problemy różnych kategorii. Wszechstronność daje mi zbyt wiele możliwości i dlatego rezygnuję z nich wszystkich. Brak możliwości mnie przytłacza, więc wracam na weekend do mamy. Mówię mamie, że chcę stworzyć coś wielkiego, a mama odpowiada, że wszystko zostało już wymyślone. Dla emfazy uruchamia swój nowy elektryczny młynek do pieprzu. Młynek bżyczy – jest lepszy niż dobry. Myślę chwilę o młynku i stwierdzam, że czas się socjalizować. Starannie dobieram niedbały zestaw ubrań, idealny do socjalizacji. Witam smutnych, podnieconych ludzi. W całym tym smutnym podnieceniu nie zapominam o wspólnym zdjęciu. Czekałam na serduszka. Dużo serduszek to prawie dużo miłości.

2. Postrzeganie świata

FILTR JA: Nikt mnie nie stworzył. Jestem własnym autorem i posiadam do siebie prawa autorskie. Liczba mnoga jest reliktem gramatycznym. Nie wypowiadam się w cudzym imieniu. Nie chcę wiedzieć. Nie odpowiadam za innych. Nie myślimy, myślę.

FILTR MOJE: Konsumuję chwile w taki sposób: obgryzam do ogryzka, bo całości się nie zjada, a te ogryzki kolekcjonuję. Nikt mi ich nie zabierze, bo są moje. Inni mogą je sobie tylko pooglądać.

FILTR BÓG: Boga nie ma/ Bóg ewentualnie istnieje/ Ja jestem Bogiem – uświadom to sobie, sobie/ spójrzmy na to z perspektywy kosmosu.

FILTR PATRZĄ: Nie piję takiego piwa. Piję daiquiri, cokolwiek to znaczy. Nie jem mięsa i nabiału. Lubię krwiste steki. Nie obchodzę sylwestra. Obchodzę sylwestra. Kiedy mi smutno, słucham techno. Kiedy mi wesoło, słucham disco polo. Nie muszę używać sesji prywatnej. Jeśli używam sesji prywatnej, to tylko dlatego, że mam ochotę na trochę Beyoncé. Mam depresję – proszę o wyrozumiałość. Nie mam depresji – proszę o tabletki. Kocham mojego psa. Kocham mojego kota. Kocham mojego delfina. Nie potrzebuję zwierząt. Jeśli na narty, to tylko w Alpy. Jeśli w Alpy, to tylko we włoskie. Nie dla granic, państw, języków, podziałów klasowych, gotówki, braku dostępu do Internetu, rasizmu, Illuminati, seksu bez zabezpieczenia, kawy rozpuszczalnej, nielegalnej aborcji, glutenu, sieciówek, Times New Romana, górnego światła, muzaku, zup w proszku, szpilek, polityki, białych butów, telewizora, Złoty Piasek, komiksów, dżemów ze sklepu i historii Polski.

czas!
mamy tylko czas!
pośród wszystkich rzeczy, którymi się otaczamy, które mamy, mamy tylko czas!

!

ludzie myślą i wartościują różnie!
studia, praca, pieniądze, dzieci, kot, pies, przyjaźń, samochody,
miłość!
a tak naprawdę po co nam to?!
po co nam to wszystko, jak nie mamy czasu się tym cieszyć, jak dochodzi do kuriozalnych sytuacji, gdzie jedynym prawdziwie niezbędnym przedmiotem w życiu jest zapelniony szczelnie kalendarz?!

!

nawet MIŁOŚĆ!
wielka, patetyczna, poszukiwana, wyreklamowana – MIŁOŚĆ – traci sens, gdy nie mamy czasu! miłości nie da się wcisnąć pomiędzy spotkania, nie da się jej przekupić pieniędzmi, nie da się odbyć staży, by się do niej przygotować!
jedyne, czego potrzeba miłości, to czasu, by była piękna, długotrwała, prawdziwa!

!

zastanówcie się, jak często słyszycie każdego dnia mantrę XXI wieku: NIE MAM CZASU!
jak często sami ją mówicie!
ile osób ranicie w tak prosty sposób?!
jak można powiedzieć przyjacielowi, że się nie ma dla niego czasu?!
jak można powiedzieć żonie, że nie mamy czasu?!

!

zabrakło czasu na to, co najważniejsze, lecz został na to, co sztuczne i niepotrzebne!

!

myślę, że cały ten modny brak czasu ma jedno proste wytłumaczenie. ludzie uciekają od siebie samych. boją się siebie. będąc zajętymi, nie czują się puści, będąc zajętymi, nie czują się samotni!
będąc zajętymi, stają się coraz bardziej puści i coraz bardziej samotni!

!

te zdania zostawiam bez morału. i tak ich nikt nie przeczyta, bo nie będzie mieć czasu! wiem tylko jedno. kiedyś każdy z nas, teraz młodych, wyruszy w najgorszą podróż swojego życia. w podróż w poszukiwaniu straconego czasu!
którego się już nie da odzyskać!

!

!

!

brak wielkich liter, luźno stawiane przecinki, odstępy między literami i wersami, potwórzona, wyliczenia i nawiązania SĄ CELOWE. nie jestem analfabetOM!!

!

!

Moje czasy, nasze czasy

Pokolenie 92/93/94, jak zwykle nasze najlepsze. Mamy dużo, doceniamy niewiele, wiele wymagamy. Ogólnie narzekamy. Dostęp do informacji, świadomość świata wzrosła.

Mówimy inaczej, prościej.
Jakoś tak wszystko chcemy sobie uprościć. Proste pokolenie, hehe.

À propos, kiedy przyjechałem do Wrocławia, dowiedziałem się, że manifestuję swoją mową, że jestem z Wielkopolski. Był to mały szok, myślałem, że wszyscy tak mówią jak ja i otoczenie, w którym dorastałem, i tylko Kaszuby i Śląskie gada inaczej. A to ci heca. Ciuszki.

Skejty, punki, metale, hipsta, sleg. Nie wiem, co tam jeszcze. W każdym razie dużo to mówi, manifestuje.

Jeżeli chodzi o '93 to za młodu były skejty. Na tę chwilę chyba hipsta i sleg. Oczywiście strasznie to okroiłem, bo wszystkich tych manifestów pewnie nawet nie znam.

Fejsbuki, hehe.

Tutaj dużo się dzieje.

Czego słuchamy: hip-hopy, indie, rock, punk, chillout, dubstepy...

Co robimy: idziemy na mecz, siedzimy w domu, imprezka.

Jak imprezka, to zdjęcia z imprezki. No i Like! hehe.

Lubimy to, nie wiem dlaczego.

Moje pokolenie lubi manifestować (da się nie manifestować?),

nie wiem, czy bardziej czy mniej od poprzednich. Ale lubi.

Ja też.

A morał będzie taki:

Manifestujemy nas, życie, którym
żyjemy. Lifestyle

zgadłem?

Manifest mojego pokolenia

Nastały dziwne czasy, my młodzi, zawładnięci technologią, nadużywamy jej służebności i sami jej służymy. Zapadliśmy w uzależnienia od urządzeń elektronicznych, które dają nam radość i zabijają czas. Czy nie lepiej byłoby wyjść na miasto poznać kogoś, kto mógłby się okazać naszym nowym przyjacielem czy może nawet osobą, z którą byśmy spędzili razem resztę życia, zabawiając własne dzieci, a potem wnuki? Oczywiście, że byłoby lepiej, ale cóż, przez to, że siedzimy większość czasu podłączeni do Internetu, poznając ludzi za jego pośrednictwem, wstydzimy się podejść do kogokolwiek na ulicy i porozmawiać o byle czym. Powinno to być naturalne, jesteśmy zwierzątkami stadnymi i to bardzo rozwiniętymi.

Wiele rzeczy nam nie pasuje, ale tak ciężko nam stawiać czoła tym problemom, tylko nieliczni są zdeterminowani i walczą, z reguły wygrywając, bo nawet przegrana daje nam wygraną w postaci między innymi doświadczenia. Idziemy za modą, pieniędzmi, technologią, rywalizujemy w byciu lepszym, udostępniając to na portalach społecznościowych, po co? Znajdźmy swoje szczęście w życiu, które jest prawdziwe.

FAJNIE?

Siedzę przed ekranem komputera i myślę, co napisać. Przydałaby się nowa karta graficzna. Przydała? A z pewnością. Najnowsze gry już nie odpalają. A przecież lubię gry. To takie lepsze filmy, bo interaktywne. Kto nie chciałby decydować, co bohater filmu o, dajmy na to, rewolucji francuskiej teraz zrobi? Czy pomoże uciec kobiecie niesłusznie skazanej na gilotynę? Czy umyje ręce, by i jego nie wzięto za kontrewolucjonistę? A może w ogóle spróbuje zapobiec dalszemu rozwojowi rewolucji i zginie, tak jak stoi, rażony z muszkietu, gdy tylko sięgnie po broń? Albo wręcz przeciwnie, sam zacznie wyszukiwać przeciwników rewolucji, spisywać nazwiska, donosić, wspinać się po drabinie klubowej kariery... by w końcu i tak trafić na gilotynę?

Tak. Gry to naprawdę ciekawy sposób opowiadania historii, ale wymagają one sprzętu, a ten wymaga pieniędzy. Pieniądze. Fajna rzecz. Można je wymienić na fajne rzeczy. Fajnie jest mieć fajne rzeczy. Fajnie jest wymieniać fajne rzeczy na fajne rzeczy, żeby mieć... fajne rzeczy? Czekaj... Coś mi tu...

A, tak, słowo FAJNIE. Przecież pani polonistka w czwartej klasie publicznej szkoły podstawowej tłukła nam do głów, żeby nie używać słowa FAJNIE. Bo jest nieeleganckie, prostackie. No po prostu totalnie nefajne.

Taaak, edukacja. Dwanaście lat uczenia się o tym, co robi żyjący w komórkach eukariotycznych aparat Golgiego, jak wyliczyć i narysować wykres funkcji logarytmicznej oraz w jaki sposób odbije się w lustrze przedmiot, jeśli światło padnie na niego z tej, a nie innej strony. Same niezbędności.

A PIT-y? Dlaczego nikt nigdy nie powiedział mi, jak wypełnić PIT-a? Albo do czego tak właściwie służy ZUS i dlaczego, skoro przecież jestem wolnym człowiekiem i żyję w wolnym państwie, muszę go płacić, bo jak nie, to przyjdzie zły pan policjant i wtrąci mnie do straszego więzienia? Albo w ogóle podatki?

Wszystko, co szkoła powiedziała mi o podatkach, nie pochodziło ze szkoły. Kiedyś, chyba w gimnazjum, na godzinie wychowawczej jakaś jękająca się kobieta z Urzędu Skarbowego próbowała nam powiedzieć, że podatki są dobre, bo płacąc podatki, mamy darmową szkołę, a co za tym idzie, te wspaniałe, odrapane i nieremontowane chyba od poprzedniego ustroju (albo i od wojny?) ściany i koślawe ławki (znaczy, tego nie powiedziała, ale nie musiała, wystarczyło się rozejrzeć). Na moją uwagę, że wcale nie darmową, skoro nasi rodzice płacą za nią w podatkach, i czy w związku z tym, zamiast płacić podatki, nie mogliby po prostu płacić na szkołę, nie potrafiła odpowiedzieć. Bełkotała tylko o konieczności płacenia podatków, bo mamy piękne pociągi (to nawet nie było zabawne) i jeszcze wspanialsze drogi (które mieszkańcy mojego osiedla na własną rękę zasypywali gruzem, żeby były w ogóle przejezdne). Tak, jej pogadanka o podatkach nawet dla gimnazjalisty nie była szczególnie przekonująca. Ale, jak to szczeniak, nie przejąłem się tym szczególnie.

Później przyszło liceum, które – ponoć najlepsze w powiecie i drugie w województwie – rozczarowywało mnie strasznie poziomem intelektualnym koleżanek z klasy. Właśnie, koleżanek. Stary ogólniak, human, jeden chłop, trzysięć bab. Oj, momentami było z nimi ciężko. Trzydzieści kobiet rzadko kiedy w czymkolwiek się ze sobą zgadza, a trzydzieści kobiet w wieku licealnym... No cóż, przetrwałem, choć ze smutkiem stwierdzam, że jedyna koleżanka z klasy, z którą do dziś utrzymuję kontakt, była z powodów zdrowotnych zmuszona porzucić zwyczajny tok nauczania i kończyła liceum w trybie indywidualnym.

Widać nie miałem z kim wejść w komitywę i utrzymywać kontaktu. Albo one nie miały? Może to ja byłem żadnym kompanem do ich dyskusji o ciuchach (choć wszystkie wyglądały identycznie, jak z taśmy, no jak babcię kocham!), chłopakach, mejkapie, serialach i jeszcze trochę o ciuchach, bo o tym zawsze mało?

A tak, liceum. Wtedy właśnie zacząłem się zastanawiać: na co nam to wszystko? Zdam maturę. Hurra. I co dalej? Do roboty? Nie widzę się dźwigającego skrzynki w magazynach. Wojsko? Wolne żarty. Studia? Filologia i całe życie na przepisywaniu dokumentów o sprzedaży iluś-tam-set ton jabłek za granicę? Dziennikarstwo? No, ci to się przynajmniej za darmo nażrą na konferencjach. Etnologia? W zasadzie równie dobrze od razu mogę zamieszkać na ulicy, kto w tym „kraju w budowie” potrzebuje etnologów?

Do kierunków ściśle technicznych się nie nadawałem. Niby 90% z matury z matmy miałem, ale co z tego, skoro wiem, że szlag by mnie trafił już na pierwszych zajęciach

z wyliczania możliwego obciążenia pręta stalowego, nadrdzewiałego w 15% rdzą krystaliczną jakąś tam? Nie, nie, nie, zdecydowanie.

No i zdał tę maturę. Miał jeden z najwyższych wyników wśród znajomych, ledwie dostał się na „wymarzone” studia. Poszedł na to dziennikarstwo, nigdzie indziej się nie widział. Później natrafił na CD. I jakoś leci, w sumie nie narzeka.

Podwórko? Zwyczajne, blok, blok, pośrodku piaskownica, drabinki, huśtawki. Kilku kolegów wokół. Kilku kiepów, którym już jako dzieciak nie wróżyłem nic dobrego. Kilku naprawdę fajnych chłopaków, którzy się stoczyli przez patologiczne rodziny albo tych kiepów, którzy w tym momencie wpuścili ich w złe miejsce. Taaak.

Na, powiedzmy, dwudziestu chłopca mojego pokolenia tylko około pięciu wyszło „na ludzi”, reszta w więzieniach, na bezrobociu, bez wykształcenia, perspektyw, z tanim piwem na ławce przed blokiem.

Dziewczyn na podwórku nie miałem. Taki jakiś śmieszny moment w historii „osiedla południowego”, że rodzili się sami chłopcy. Bóg, opatrność, matka natura czy kto tam jeszcze najwyraźniej postanowili odbić mi to z nawiązką w liceum.

Swoją drogą, to interesujące, że w przeciągu kilku lat na tak sporym osiedlu (kilkanaście bloków, każdy po cztery piętra) nie urodziła się żadna dziewczynka. Efekt działania radioaktywnej chmury z Czarnobyli? Absurd. Azbest pokrywający każdy centymetr kwadratowy bloków? (Swoją drogą, ktoś kiedyś stwierdził, że azbest, a w zasadzie nie sam azbest, tylko pył azbestowy, jest silnie rakotwórczy i wtedy zaczęła się wielka akcja skuwania azbestu. Wtedy to dopiero narobili pyłu! A żeby to jeszcze uprzątnęli... A gdzie tam, firma miała skuć, to skuła. Przez następne trzy lata dzieciaki miały w stertach połamanych płytek tyle materiałów do zabaw, co chyba nigdy w historii tego podwórka!). A może po prostu matka natura stwierdziła, że do tych trzydziestu dziewczynek z mojego liceum będzie potrzebować mniej więcej tylu chłopców i akurat padło na ten rejon? Banał. Jak to jest, że człowiek zawsze wyszukuje sobie powody nawet najgłupszych spraw?

Aaa, no i trzeba by jeszcze wspomnieć o Sprawie Kraju i Narodu Polskiego Któren Wybrany Jest Spośród Jedynych na... drugiego? No, jakoś tam istniała ta nasza piękna Polska i ci piękni Polzanie, gdzieś poza moim rozumowaniem kilkulatka, którego nauczono pierwszej zwrotki hymnu i kilku patriotycznych wierszyków, bo trzeba było odbębnić pasowanie na ucznia. A później przyszła Unia. I w telewizji zrobiło się granatowo i w gwiazdki. Przypominało mi to zawsze sceny ze Strusia Pędziwiatra: jak

Kojot zrobił sobie krzywdę (a zawsze prędzej czy później zrobił), nad głową pojawiała mu się taka właśnie wirująca aureola z gwiazdek (albo ptaszków, raz tak, a raz tak). I tak właśnie z tymi ludźmi też wtedy było, jakby wszyscy uderzyli się w głowę. Wiwatowali, krzyczeli, pokazywali, klęli, machali, tłumaczyli, ale najczęściej krzyczeli, bo tak mamy nad Wisłą, że dużo krzyczymy, może nie tak głośno jak Włosi, ale też. No bo Unia. Nikt się nie zastanawiał, dlaczego krzyczy, wiwatuje, klnie, macha i tłumaczy. Bo Unia. A skoro wszyscy (wszyscy?) z Unią, to my z wszystkimi! Jeśli my z Unią, to któż przeciwko nam? Unia rządzi, Unia radzi, Unia nigdy nas nie zdradzi! No i mamy Unię.

I co mamy z Unii? No mamy trochę więcej ryb, bo ślimaki to przecież ryby. I więcej warzyw, co szczególnie ucieszy tych na diecie, bo pizza to warzywo. Och, oczywiście, jest wspaniale, otwarte granice i... No i w sumie tyle. Aaach, no tak! Przecież mamy też dziurawe autostrady i psujące się już pierwszego dnia Pendolino. Jeden plus tego taki, że rolnicy mają ładniejsze kombajny. Szkoda tylko, że roztrwoniliśmy (witamy nad Wisłą!) tak ogromne pieniądze na zupełnie nieudane inwestycje (no cóż, skoro łapówkarze dostają dwa lata w zawiasach...), za które będziemy musieli co do grosza zwrócić. No bo przecież w kapitalizmie nic za darmo ni ma.

No i patrzy człowiek, jak rośnie dług, jak wprowadza się coraz wyższe podatki, jak drożeją mieszkania, jak ludzie ubożeją, choć w partyjnych (specjalnie użyte słowo) księgach kraj się bogaci. I myśli człowiek – a może by tak rzucić wszystko i uciec do Amazonii? Albo Peru? Tam, gdzie nie ma durnowatych przepisów unijnych o dopuszczalnym zużyciu mocy przez żarówki, gdzie nie zabrania się wędzenia kiełbasy, bo podobno pryskanie jej chemikaliami jest zdrowsze, i nie decyduje się o jakości węgla, który można spalać, podczas gdy Chiny w ciągu tygodnia wałą w atmosferę tyle gazów cieplarnianych co Polska pewnie w ciągu roku. Bez głupich przepisów żyje się ludziom dobrze. Chcą napić się soku z pomarańczy zrobionego ręcznie przez chłopka siedzącego na chodniku, to się napiją, najwyżej się pochorują i wyleczą na koszt własny. Chcą sobie w końcu strzelić w łeb, to strzelają i nikt nie ma prawa rozporządzać ani ich palcem, który ciągnie za spust, ani ich głową, z której niewiele zostanie.

A może to złe podejście? Może jednak lepiej jest nam tu, w cieplej i bezpiecznej Europie, gdzie aparat państwowy dba o obywatela, o jego zdrowie i życie, by ten mógł szczęśliwie płodzić i kupować, by mógł zarabiać i płacić podatki, żeby aparat państwowy mógł sobie z tych podatków przyznawać nagrody za trzecie już w tym roku poprawki do ustawy, które polegały zasadniczo na powrocie do formy pierwotnej? Może i jest lepiej. Przecież jest miło. To nieważne, że połowa tego, co człowiek ciężką krwawicą zarobi, zabiera mu państwo, by dać mu dziurawe drogi, zepsute pociągi, niemitych urzędników i piękne garnitury w sejmie. Przecież tutaj jestem *wolnym* człowiekiem.

Ech, niedobrze nam z tym niby-socjalistycznym państwem. Bo nie jest ono kapitalistyczne – o nieeee, kapitalistyczne to są państwka w Afryce, Ameryce Południowej – tam masz dolara, dostajesz towar za dolara. A tutaj masz dolara, dostajesz towar za trzydzieści centów, bo resztę zabierają podatki, z których wraca do ciebie może 20%, bo reszta poszła na utrzymanie urzędników.

Ale niemożliwe jest zrobić tutaj czysty kapitalizm. Nie. Za dużo mamy banków centralnych i narodowych, choć i te komercyjne dorzucają swoje trzy grosze, za dużo mamy aparatury państwowej, którą trzeba utrzymywać.

Więc co? Może wyjechać w... daleko, i jako niebieski ptaszek bez adresu i nazwiska wraz z podobną sobie grupą szaleńców założyć prawdziwą leśną komunę, gdzie będziemy uprawiać jagódki, tresować wiewiórki i hodować krowy na mleko, ćpając na potęgę i grzmocąc się po krzakach?

Cóż, brzmi kusząco, ale tu chyba nie o to chodzi.

Skoro obecny interwencjonizm państwowy nie działa, skoro kapitalizmu się nie da, bo ci na górze nie pozwolą (i w zasadzie mało komu by się chciało, bo dzisiaj każdemu dobrze, dopóki ma telewizor i kiełbasę w lodówce), skoro komunizmu też nie, bo globalnie nigdzie nie wyszło, a miejscowo nie jest satysfakcjonująco, to co?

Ano nic. I to właśnie wszyscy robimy.

No i wracam myślami do mojego komputera. Ekran też już w sumie wysłużony. Wkłęś się przycisk i bez przerwy w prawym dolnym rogu przelatuje mi niebiesko-różowy kwadracik ustawiania jasności. Ale nie mogę go otworzyć i spróbować naprawić, bo wtedy najpewniej już w ogóle nie będzie działał, za dużo rzeczy się w nim psuje. Fajnie byłoby mieć nowy monitor. Fajnie?

Manifest antyhipokrytyczny

Nasz świat składa się z hipokryzji. Wmawiamy innym, że wszystko robimy dla nich, oszukujemy dzieci, że ich rodzice żyją wyłącznie dla swych pociech (geneza tego zwrotu jest również dowodem tezy) i wymuszamy wiarę w altruizm, by nie opuściły nas na starość. Nasza atawistyczna potrzeba bycia lubianym przez wszystkich, do czego nieraz używamy mniejszych lub większych kłamstw i manipulacji, zdaje się uświęcać środki do tego stopnia, iż większość z nas staje się ich zupełnie nieświadoma. Co więcej, negujemy możliwość, że nasza „dobra wola” może być spowodowana osobistymi celami lub zwyczajnym poczuciem samospełnienia, satysfakcji.

Gdyby się nad tym zastanowić, to niemal codziennie zadajemy tonę pytań, mających nas przedstawić jako troskliwych przyjaciół, opiekuńczych ludzi, dbających o bliskich, nawet nie oczekując odpowiedzi czy w ogóle nie zwracając na nią uwagi. Najlepszym przykładem tutaj jest chyba najpopularniejsza formuła „co słychać?”. Nierzadko nie czekamy, aż pytany przetworzy nasze słowa, i od razu zalewamy go potokiem słów, jakbyśmy wypytywali sami siebie o, przykładowo, zdarzenia z minionego tygodnia.

Ile razy powiedzieliśmy komuś, że dobrze wygląda, że wcale nie jest taki zły w danej czynności, że bardzo go lubimy lub też uwielbiamy słuchać tej samej muzyki co on/ona, mimo że było zupełnie na odwrót? Ile razy ustąpiliśmy miejsca osobie starszej w autobusie, mówiąc „proszę bardzo, ja sobie postoję”, gdy jedyne, co mieliśmy w głowie, to błaganie, by usłyszeć „nie, nie, ja zaraz wysiadam”.

Kiedyś przedstawiłam znajomej swój punkt widzenia na temat zamartwiania się o dobro innych. Powiedziałam, że robimy to, ponieważ to MY będziemy się źle czuć, jeśli komuś się coś stanie, a nieraz nawet oczekujemy współczucia innych, ponieważ tak bardzo się troszczymy o kogoś, że stajemy się męczennikami na pokaz. Nie podając żadnych argumentów, mimo prośb o ich przedstawienie, kategorycznie stwierdziła, iż to NIE MOŻE być prawdą, i przeprowadziła dość agresywny atak słowny z racji, jak to nazwała, obrażania jej osoby.

Cóż, tutaj pojawia się pewnego rodzaju ironia, ponieważ kiedy używamy tych samych metod, które stosujemy przy odgrywaniu „tych wspaniałych i biednych”, do w pełni świadomej, wyrafinowanej manipulacji, przy wiedzy, iż jej cel ma służyć wyłącznie nam, jest to traktowane niemal jak zdrada stanu. Tych, którzy znają swoje (prawdziwe) intencje i wprawnie posługują się nabytą wiedzą, umiejętnościami społecznymi, wspomagając to intuicją, traktuje się jak wybryki natury – wariatów, którym nie wolno ufać, a należy instytucjonalnie naprostować. Jeżeli to nie jest możliwe – mentalnie wygnać ze społeczeństwa. To znajomość przynajmniej części ludzkości w ostateczności może sprawi, że skażemy się na samotność.

A gdyby wyobrazić sobie, jak wyglądałby nasz świat bez tego zakłamania? Bez społecznej potrzeby przypodobania się każdemu nie byłby używany fałsz. Nie byłoby naszej domniemanej konieczności poprawiania siebie pięknymi słowami i nadzwyczaj (przejaskrawionymi) uprzejmymi czynami, przez co ludzie by nas znali takimi, jakimi faktycznie jesteśmy. Nie jakimi chcielibyśmy być.

Podczas początków naszego życia rodzice dostosowują nas „do normy”, choćby stałymi wizytami u lekarza, bo ząbki powinny wyjść już tydzień temu, bądź staniem w kącie, bo Marysi jest przykro, gdy mówimy, że jej nie lubimy. Następni są nauczyciele: już od podstawówki wciskają nam kit o bezinteresowności jako cesze prawdziwego przyjaciela, a prawda jest najważniejsza (jak tu nie zwariować, skoro często to pierwsze jest mitem i w dużej mierze wyklucza drugie?).

Z chwilą wejścia w okres dojrzewania dorośli na chwilę zmieniają taktykę, przypisując większość naszych nieakceptowalnych później zachowań naturze wieku buntu, czyli nic zagrażającego rutynie.

Co w tym najsmutniejsze, później sami się dopasowujemy. Jesteśmy w tym zakresie zarówno konformistyczni, jak i ślepi. Nie dość nam życia w obłudzie – potrzebujemy jeszcze samozapreczenia i racjonalizacji powyższych... by czuć się bezpiecznie długo- i krótkoterminowo. Wyjątki od tej reguły nie mają łatwego życia, bo albo brani są za dzieci, albo robi się im legalne pranie mózgu, albo też sami trzymają się w odosobnieniu, żyjąc wśród znormatywowanych i używając mistyfikacji, by więcej już nie cierpieć.

Manifest [?]

Do napisania manifest pokolenia. Kto to wymyślił? Kolejne bezsensowne zadanie, które nie pomoże mi w znalezieniu świetnej pracy za miliony. Czy im już w ogóle nie zależy, abym cokolwiek osiągnął? Po co ja w ogóle poszedłem na te studia. Zostałbym u rodziców, znalazłbym fajną fizyczną albo chociaż quasi-fizyczną pracę, dorzuciłbym się do rachunków i po pół roku jeździłbym porządną meganką. Kolejne pół roku – porządny kurs spawacza, pół roku na wiertniczej w Norwegii, wracam i zakładam warsztat albo bar, albo jeszcze lepiej – biuro nieruchomości. Kobieta byłaby spokojna o finanse, ja o spokojną przyszłość, tylko ZUS ciągle kradłby mi moje ciężko zarobione pieniądze. Dobrze, że w domu mogę obejrzeć na spokojnie mecz i odcinek *Dwóch i pół* z piwkiem i smacznym obiadem.

Marzenia. Trzeba napisać ten idiotyczny manifest. Podobno studia mają dać mi pracę, wykształcenie i świetlaną przyszłość. Ja tego nie widzę. Andrzej jutro broni magistra. Z budownictwa. Mówi, że zmarnował pięć lat, bo jakby poszedł na informatykę, nauki by miał tyle samo, a dostałby bez kiwnięcia palcem pięć netto w Volvo. A teraz to się może jako asystent kierownika budowy zatrudnić. Pięć lat zarywania nocek do sesji i mu w twarz rzucają tysiąc siedemset. BRUTTO. A ja co? Studia rozwijają kreatywność. To ja podziękuję, poproszę kurs przeprowadzania rozmowy kwalifikacyjnej. Albo zamiast dyplomu dajcie mi chociaż numer telefonu do HR-owca z TBWA. Poczekaam, zadzwoni, będę przynajmniej wiedzieć, że warto odebrać. No chyba że powie „staż”. To się zastanowię, ale tylko jeżeli będzie płatny.

Na jutro trzeba oddać manifest o niczym. Jakby sam się nie mógł wysilić i czegoś napisać. Starszy ode mnie o ile? Dziesięć lat? Podobno pokolenie to dwadzieścia pięć. Czyli że co? Że te gówniarze z gimnazjum cokolwiek wiedzą, potrafią? Przecież to już na pewno następne pokolenie. Ostatnie, bo my to jeszcze wiemy, my się uczymy, rozumiemy, czytamy tak dużo dużo dużo, a oni nic. Mamo, daj, mamó mamó mamó. Infantylni, miały, zdegenerowani, ech. Koniec. Po nich to już tylko powrót to kamienia łupanego. Kretyni, gówniarze, nieroby.

Stefan. Bo ja już mam dość. Siedzę nad tym manifestem, czy co to jest, już z godzinę i chyba nawet coś napisałem. Jak na fejsie pytałem, czy ktoś coś wrzucił, to klasycznie: Anka już skończone, kolorowe, achy, ochy. Nerd. Chyba jeszcze muszę z drugie tyle, ale dobra! Przerwa. Wołaj chłopaków, dwie godzinki w LoL-a i wracam do pisania.

Właściwie to chyba odpuszczę sobie ten manifest. Inni zrobią go i tak lepiej, ciekawiej. Inni znowu zbiorą laury i wiwaty. Ja sobie poczekam. I tak to studiuję, bo mama by się popłakała chyba, gdybym po ogólniaku na studia nie poszedł. Co miesiąc rodzicielskie tysiąc pięćset przesyła. Dałbym radę pewnie coś odłożyć, ale na Niepolda i w Pudbarze trochę drogo. A znajomych trzeba mieć jak najwięcej. Poczekam do licencjatu i wyjeżdżam z Agą do Stanów. Tam sobie dorobimy. Tam na sto procent będzie lepiej.

„Manifest naszego pokolenia:

Nasze pokolenie jest beznadziejne, bo tylko niektórym się chce...

...”

Wszystko na już!

Nie jesteśmy aż tak bardzo leniwi, jesteśmy raczej zmęczeni. Jesteśmy zbyt zmęczeni na wymyślanie wspaniałych wstępów, które popchną resztę naszej pracy do przodu w tempie pociągu Pendolino (żart). Generalnie to najgorzej jest zacząć, a potem jakoś pójdzie...

Chcielibyśmy być dobrymi i szczęśliwymi ludźmi. Uwielbiamy spełniać swoje marzenia i marzyć, nieważne o czym, chcielibyśmy żyć tylko planami o tym, co i jak będzie kiedyś. Taki stan rzeczy sam w sobie jest super, jednak czy zastanawiamy się, co jest najfajniejsze w marzeniach (oraz generalnie w szeroko pojętym stwierdzeniu) i życiu?

Nie.

Nie widzimy (ja sam rzadko to widzę), bo rzadko sobie o tym przypominamy, że samo spełnienie/osiągnięcie marzenia (jak błahe by ono nie było) nie jest najważniejsze. No dobra, to co jest?

Droga do celu – oczekiwanie, walka, próba.

Oczywiście? I tak, i nie. Teraz możesz powiedzieć: tak, to faktycznie prawda, ale czy pamiętamy o tym i chcemy sobie zaprzętać tym głowę? Niespecjalnie. Chcemy, żeby było tu i teraz, jak najszybciej. Jesteśmy bardzo niecierpliwi, zwłaszcza w osiągnięciu celu. Bardzo szybko się poddajemy i mimo że największą satysfakcję zawsze daje droga, to chcielibyśmy, żeby była jak najkrótsza – tak z zasady. Czy to nasza wina? Uważam, że nie.

Zawsze wszystko mieliśmy na już. Od dziecka rodzice chcieli dla nas jak najlepiej i czy skrzywdzili nas, dając nam prawo do niecierpliwości?

Sami uczymy się, że czasem jednak warto jest zagryźć zęby i z cierpliwością Japończyka czekać. No właśnie – uczymy się...

Moje Pokolenie

Temat tyle trudny, co bardzo mi bliski. Wyjątkowo długo zastanawiałem się, jak mógłbym zdefiniować swoje pokolenie i jak chciałbym o nim opowiedzieć. Szukałem czegoś, co je wyróżnia na tle innych, a jednocześnie nie chciałem odbiegać za bardzo od rzeczy ważnych i nie było to łatwe zadanie.

Żyjemy w świecie cyfrowym, gdzie coraz mniej miejsca zostaje na powolne, dojrzewające w nas decyzje. Oczekuje się od nas prawie natychmiastowego działania i rzuca się na nasze barki bardzo wiele kwestii z przeróżnych dziedzin, często takich, które zajmują nam tylko niepotrzebnie głowę. Bardzo wczesnie stawia się wobec nas oczekiwania, nawet kiedy my sami nie mamy wobec siebie jeszcze żadnych. Z jednej strony niepisany nigdzie obowiązek bycia w sieci, z drugiej natomiast wrzuca się nas w trybiki maszyny edukacji, gdzie mało zostaje miejsca dla nas samych jako jednostek indywidualnych.

Wszyscy znamy cel tej „zabawy”. Realizujemy go skrupulatnie. Zmierzamy w jego kierunku, jesteśmy w tym świetni. Przecież idziemy na konkretny kierunek studiów, podejmujemy te, a nie inne decyzję, ale tak naprawdę w niesamowitym natłoku bodźców, jaki spada obecnie na „nas”, ciężko jest zauważyć to, czego naprawdę potrzebujemy i tak naprawdę chcemy. Często te decyzje są obowiązkiem społecznym, podobnie jak w przypadku bycia w sieci. Idziemy jakimś utartym szlakiem, z którego nie bardzo chcemy zejść. Może się boimy? Prawie nikt nie ma odwagi świadomie i z pełną premedytacją np. nie pójść na studia tylko po to, żeby dać sobie czas. To oczywiście przykład, chodzi mi jednak o sam fakt, że wszyscy chcemy za wszelką cenę uczestniczyć w tym wyścigu o „coś” – o coś, co prawdopodobnie nigdy nie nadejdzie lub też nie będzie warte straty takiej ilości czasu. Gdybyśmy jednak chcieli jeszcze raz zdefiniować swoje własne potrzeby i cele. Co wtedy? Czy nie jest jeszcze za późno?

Moje pokolenie ma przed sobą bardzo trudny okres. Wszyscy znamy drogę, widzimy, jak idą inni, lecz czy nie warto byłoby się zastanowić, gdzie moglibyśmy my sami postawić sobie własną linię mety?



Malwina Kolwaska

10 lipca

Powrót do domu, dzięki za imprezę!!!



Malwina Kolwaska

10 lipca

Ale kacor, było warto :)



Malwina Kolwaska

10 lipca

Nudy przed komputerem heh



Malwina Kolwaska

10 lipca

Śniadanko z rodziną <3



Malwina Kolwaska

10 lipca

Idę do toalety



Malwina Kolwaska

10 lipca

Spacerek z pieskiem :)



Malwina Kolwaska

10 lipca

Robię jajecznicę z pomidorami zapraszam!



Malwina Kolwaska

10 lipca

Jestem super kucharzem, wyszło pysznie!



Malwina Kolwaska

10 lipca

Powtórka z rozrywki <3 <3

0. nie ma, fałsz; zamierzam, kiedy na koncie zauważam, że było, gdy jest już na minusie; zerowy sukces, jednak szans wciąż wiele; w zerówkach mi do twarzy, lecz przez minusy widzę lepiej

1. jest jeden Bóg, mówili mi na katechezie; kto pierwszy, ten wygrywa, formuła jeden, pała w dzienniczku, pierwsza komunia, w sumie raz nie zaszkodzi, raz nie zawsze, żeby mi to był ostatni raz raz (no dalej, weź się pośpiesz)

2. gdzie masz swoją parę? ze mnie już uszła mimo uszu; dwójka; uciekam, ale bilet w dwie strony poproszę, nim wstanie dzień, raz, dwa, mam i ja; przewiń to na prawą stronę, takich przewinień mam wiele

3. gonisz ty, do trzech razy sztuka (to nie sztuka, to tylko kawał); pamiętaj: trójbój się Boga; nie mam zamiaru mierzyć siły, tętno wystarczy, więc trzymaj się i na trzy skaczemy do -ego świata

4. cztery pory roku, posłucham później, tylko nie o tej porze; w czterech ścianach czterech pokoi, siadam na swoje i czytam literę; zataczam kółka w cztery strony świata, tylko byle nie na czworakach; a imię moje takie samo jak nazwisko – nieznamome

5. jestem piątym kołem, bez fortuny, lecz jakoś się to toczy, nie ma lekko, i koniom też nie jest źle; kopać nie muszę, zdrowie też niczego sobie, five o'clock teleexpress; spadam, pioną; fifty-fifty, fiu, fiu

6. celujący też czasem trafiony, więc niech topi się w sławie jak ser; totolotka trzeba skreślić, jest cumulus i kłębią się myśli; nie potrzebuję już głowy, by żyć w chmurze; padam z nóg w mililitrach na metr sześcienny

7. odpocznij za siedmioma górami; niedziela; tak zrobię – 7 życzeń pomnożę przez 7 żyć, nie umierać; nie podzielam zdania, uwagi zostawiam dla siebie

8. szukam ósmego cudu, jednak nie chcę cudować, bo może już był nad Wisłą i miód, i mleko; wciąż płynie mi ślina; ucieknę

9. ni wte, ni wewte, ni w dziewięć, 999 w razie wypadku, znów wypadło na mnie;
dziewiąty miesiąc już pukam w te wrota; dziewięćdziesiąt dziewięć, nie mam jak wy-
dać – grosik będę dłużna, dobrze?

My, czyli urodzeni w latach 90., albo bardziej ja, która myślę, że tacy jesteśmy „my”

Nasi rodzice. Ludzie urodzeni w czasach Polski Ludowej. Kolejki po mięso, którego zabraknie, alkohol, Solidarność, brak wszystkiego, dobra zabawa. Reszta to sklepy uginające się pod ciężarem towarów, PROMOCJE!, telezakupy, Disco Relax przed mszą, praca, pieniądze, coraz więcej rzeczy. I my – dzieci. To ich młodość.

Jacy jesteśmy? Zalani informacjami (które nie wiadomo, czy są potrzebne, bo obiektywizm nie istnieje), zalani wciąż powracającym oldschoolem. Mamy duży wybór, wszystko jest stylizowane na coś sprzed czegoś. Religia. Niby jest, ale to też kwestia stylu życia. Wszystko możemy wybrać, ale nie wiemy, czemu akurat to. Próbujemy sobie coś wyjaśniać, tworzyć poczucie bezpieczeństwa, wybierając jakieś filozofie, określone zbiory zasad, ale średnio jesteśmy do nich przekonani. Polityka. LGBT/KNP? A różnie. Nasi rodzice też musieli się opowiedzieć...

Przejedliśmy się tym, co dla naszych rodziców było powiewem współczesności, cywilizacji i wolności. Nachalne reklamy, wszędobylskie promocje/okazje/skandale męczą, nie kuszą już, przejadły się. Kolejną naszą cechą jest internetowy ekshibicjonizm, potrzeba dzielenia się ze światem każdym ułamkiem ze swojego życia, oczywiście przedstawionego w melodramatycznej lub musicalowo-radosnej formie. Facebook, Instagram, Twitter itp., itd. Niby anonimowości teraz już nie ma, skoro każdy się rozbiiera w Internecie, ale to tylko tworzone świadomie lub w sposób przypadkowy kreacje. Nasze internetowe alter ego.

Nasze obawy. Przyszłość, praca i co dalej? My w opozycji do świata, świat obok nas, my poza światem. Coś gdzieś się dzieje, ktoś coś powiedział w telewizji, w drugiej powiedzieli, że źle powiedział. Każdy z naręczem swoich racjonalnych argumentów. Każdy ma rację i nikt jej nie ma. I ja w tym piekło-niebie. A przecież trzeba wybrać, to nie jest wcale łatwe, boje się, że może zamykać czy/zawężać horyzonty, ale gdzieś zwykle się idzie, więc idziemy/wyberamy.

Czas. To, co dzisiaj jest ważne, jutro będzie zapomniane. Informacje biegną tak szybko, że nie nadążamy z ich łapaniem. My w czasie. Wszystko szybko trzeba robić i koniecznie w tym samym momencie. Ciężko nawet usiąść spokojnie, a jeszcze gorzej wyjechać gdzieś, gdzie nie ma Internetu, niby fajnie, ale strach, że będzie trzeba nadrabiać „świat”, ale się wyjeżdża, no i się nadrabia...

Czego my możemy chcieć? Chyba odnaleźć się w „świecie możliwości”. Znaleźć tzw. punkt zaczepienia. Może też trochę zmieniać „rzeczywistość” zastaną, ale z większym zrozumieniem/większą wiedzą (i chyba trochę się zmieniło? Ale nie wartościujmy).

Nie jestem pewna, czemu służą moje „wypociny”, ale jeśli ktoś chce wiedzieć, co myślę teraz, tj. 11.01.2015, mając lat dwadzieścia, to jest to właśnie to, co powyżej tego akapitu. Pewnie napisałabym więcej, ale trochę męczący temat. Niekoniecznie jest to manifest pokolenia, choć pytając znajomych, dowiedziałam się, że chyba myślą w miarę podobnie, więc może trochę jest. Dobra, już przestaję się tłumaczyć.

Jestem pokoleniem

Jestem pokoleniem. Jestem pokoleniem żyjącym w czasach, które uznały, że nie warto zrzucić na siebie bomb atomowych, bo będzie bardzo źle, w czasach, które nie są już dwubiegunowe, a półtorabiegunowe, tj. Juesej oraz potentaci (zawsze Chiny, zawsze Rosja, groźba islamu). Generalnie ludzie wpadli na niesamowite odkrycie, że tak naprawdę są większe groźby niż ludzie, którzy zabijają innych ludzi z powodów ideologicznych, tj. surowce na świecie nie są nieskończone dla takiej liczby ust, rąk, brzuchów (jest nas za dużo na taką małą Ziemię). Inne pokolenia mówią, że jeszcze nigdy nie było tak pełnego głupich ludzi pokolenia i że ja już nawet nie tworzę muzyki, że jestem pozerem, który nie ma już żadnych wartości, że ja już tylko o seksie i używkach myślę. Przyznam, zdarza mi się zasnąć, obrzygany na dworze za dyskoteką, gdzieś w lesie, kompletnie nie wiedząc gdzie. Ale inne pokolenia też wspominały, że nie jest im to obce. Jestem pokoleniem. W sumie nie wierzę w Boga, chociaż niektóre części mnie dobrze się czują z religią, chodzą do kościoła, chociaż się tego wstydzą. Zazwyczaj jestem jednak agnastykiem albo modnym ateistą. Nie czytam książek, ale jak już czytam, to *Tako rzece Zaratustra*. Poprzednie pokolenia chciały być dobrym stolarzem, elektrykiem, dobrym pracownikiem fizycznym, ja brzydzę się pracą fizyczną. Nie miałbym czasu na siłownię i jogging, gdybym jeździł taczka. Częściej niż inne pokolenia chodzę na studia, które straciły prestiż, bo za często na nie chodzę. Tak jak inne pokolenia lubię wódkę i zabawę, ale w przeciwieństwie do innych nie chcę być szary, chcę być inny (sic!). Mam problemy z określeniem swojej płci, na pewno jestem metroseksualny. Chyba zapuszczę sobie brodę. Jestem pokoleniem. Czasem mam problemy z otyłością, a czasem jestem anorektyczką. Marzę o tym, żeby nie pracować, ale mieć pieniądze na ubrania z sieciówek i na mieszkanie w mieście. W sumie myślę o tym, żeby przenieść się w całości do miasta. Jestem pokoleniem i myślę, że zdarza mi się lewicować, ale tak naprawdę marzy mi się mocna prawica, bez tych obcych i z wieloma świadczeniami socjalnymi, ale niskimi podatkami. Jeżeli jestem w Polsce, to pracy szukam za granicą, mimo że stać mnie na mefedron i „szczura”. Jestem pokoleniem. Nie utożsamiam się ze sobą. Nie mam idoli, jebie mnie to, nikt mi nie będzie mówił, jak mam żyć. Nie mam potrzeby mieć idola (tak naprawdę mam idoli i autorytety, ale wstydzę się ich wskazać, wstydzę się takiej deklaracji). Jestem pokoleniem. Moje ulubione filmy to *Lord of the*

Rings, Zmierzch i Amelia. Wczoraj kupiłem sobie lustrzaną, gitarę klasyczną, tablet. Dziś zrobiłem sobie tatuaż, pasuje do mojego czarnego dresu z Everlast, conversów, parki w kolorze khaki i butów emu. Lubię farbować włosy i powiększać cycki, jak idę na kluby. Nałogowo gram w LoL-a. Jestem pokoleniem. Moje ulubione jedzenie to szybkie jedzenie, ale mam sobie to za złe i chciałbym jeść sushi. Wpierdalałem McDonalda, myśląc o sushi, a później płaczę, bo chcę być next top model. Jestem osobą roszczeniową, wszystko mi się należy, ale mi się nie chce. Chyba nie potrafię już pisać ręcznie. Oglądam porno i nie mam problemów z seksem. Nie rodzę dzieci między 20. a 32. rokiem życia. Miałam wiele partnerów, miałem wiele partnerek. Oral to nie seks. Facebook to realny obraz mnie, moich zainteresowań, mojej twarzy, moich poglądów. To jest prawdziwe jak ja.

A jutro? Zaczynam myśleć o jutrze, chyba przestanę się kurwić, chyba przestanę studiować bezcelowo, bo to tylko przedłuży moje dzieciństwo. Przestanę brać kredyty, bo to też jest bez sensu. Mam nadzieję, że będę z kimś na stałe, a jak nie ja, to może ktoś po mnie.

garry przewóz aka erykrozdolski

Nie wiem. Nie rozumiem. Nie chcę. Fajnie, ale po co to komu? Podobnie – kopiuje – wklej – współwinny, współuczestnik, obserwator. Pokolenie '94, ale generacja polskiej złotej młodości ma szerszy zakres. Nie wychylaj się. Bądź jak inni. Pieniądże, komercja i moda... mimo to, kto ma ognia? Czasami mam wrażenie, że jedynym marzeniem jest zwykła zapalniczka. Dostęp do Fejsbuka – zaraz sprawdzę. Czasami tysiące nieznanymi znajomymi. Wstaw zdjęcie płodu. Pokaż wszystkim, czym jeździsz. Jaki masz dzisiaj makijaż – Instagram. Kożuchowska urodziła? Pies gada w TV. Fascynacja kiczem. Zróbmy sprężynkę, po co orzełek. Czy to już moja generacja? Informacja po przeczytaniu nadal jest informacją. Znaczenie przestało mieć znaczenie. Przecież nie wiem, nie rozumiem. Nie wypowiem się, bo nie chce mi się mówić. Nie chce mi się myśleć, bo tak łatwiej. Referat? Wikipedia. Praca domowa? Google. Czas na rozrywkę. Weź Joya i Leszka. Ekipa Wpadnij. Przyjaciele? Mam ich. Potrzebujesz pomocy? Nie ma ich. Wartości? Może pieniądza. Patriotyzm? Tylko na zapalniczkę i to jeszcze po angielsku. Polak niewierzący, ale praktykujący.

Przecież nie mam czasu dalej tego pisać. Tak naprawdę mi się nie chce.



In a relationship with a computer

Gdzie miejsce dla nas?

Żyję w świecie zanikających wartości. Gdzie koncentrowanie się na sobie wyklucza poświęcenie, bezinteresowność, szacunek.

Żyję w społeczeństwie, które nie lubi niewygodnych słów.

Żyję w rzeczywistości, w której mam mnóstwo perspektyw, a jednocześnie nieustannie boję się przyszłości.

Żyję w społeczeństwie, w którym nie ceni się człowieka, tylko jego produktywność.

Żyję w pokoleniu, które musi w takiej rzeczywistości funkcjonować. Rzeczywistości, która wyniszczyła w nas ufność i wiarę w ludzi. W pokoleniu, w którym cynizm jest najlepszą formą walki i obrony.

Żyję w pokoleniu bez poczucia bezpieczeństwa, zaufania.

W pokoleniu, w którym wyśmiewamy wszelkie autorytety jednocześnie, bezrefleksyjnie naśladując osoby, które nam imponują.

Żyję w pokoleniu, w którym wizerunek liczy się bardziej niż sam człowiek.

W pokoleniu indywidualistów, którzy są wszyscy tacy sami.

W pokoleniu selfie, filmików na YouTube, hashtagów. W świecie idealnej rzeczywistości filtrów na Instagramie.

W pokoleniu 500 znajomych na Facebooku i 0 prawdziwych przyjaciół. Food pornu, printscreenów, sesji prywatnej.

W pokoleniu piszącym intymne wiadomości na czacie i niewitającym się w rzeczywistości. Gdzie randkowanie sprowadza się do paru imprez i zaliczenia trzeciej bazy.

Żyję w pokoleniu głośnych liderów, którzy nie mają nic do powiedzenia. W którym nie szanuje się historii, religii i tradycji.

Żyję w pokoleniu, które nic nowego nie tworzy, nie czuje potrzeby zmian. Bierze świat takim, jaki jest, i szuka w nim wygodnego miejsca dla siebie.

A ja?

Mam 343 znajomych na Facebooku, 6 prawdziwych przyjaciół i profilowe z rączki. W tle kadr z *TheImy i Louise*, bo przecież lubię kino. Alternatywne. Chodzę na festiwale filmowe i oglądam seriale. Śpiewam pod prysznicem i słucham na sesji prywatnej. Czytam w tramwaju, zasłaniając okładkę. Rzadko dodaję posty, ale się nie odznaczam.

Czasem gram na fortepianie, jeszcze rzadziej na skrzypcach. Czytam *Dumą i uprzedzenie*, *Anię z Zielonego Wzgórza* i *Pudelka*.

Chodzę do modnych klubów i do kościoła w niedzielę.

Szukam złotego środka.

Czy jestem oryginalna? Kreatywna? Inna?

Oby nie.

Znacznie mniej wiem, czego nie chcę, niż czego chcę. Chcę coś osiągnąć, ale nie wiem, co konkretnie.

Ale to wiem na pewno. Chcę prawdziwości. Uczuciowości. Wzlotów i upadków. Potu i łez. Bezinteresowności i naiwności. Prostoty i skromności. Niewygody i ciężkiej pracy. Zawodów i nadziei. Chcę pełni życia.

Znajdzie się tu miejsce dla mnie?

Manifest naszego pokolenia

Pokolenie lat 90. Ale nie tacy z początku i nie z końca. Ze środka. Bo ci z początku to taki oldschool, pamiętają chyba jeszcze PRL, a my już urodzeni w wolnej Polsce i bez kartek. A z końca to już gimbusy, nic nie wiedzą przecież, bo młodszy, a zamiast mózgu mają smartfon.

Nie wiadomo, którzy lepsi, a którzy gorsi, bo ci starsi mówią, że ci młodszy, i vice versa.

A ja nie jestem ani z początku, ani z końca, więc mogę mówić tylko za siebie, chociaż łatwiej byłoby się schować za jakimś „my”. Łatwiej mówić o pokoleniu niż o samym sobie jako części tego pokolenia. Chociaż przecież wszyscy jesteśmy egoistami, a my to już w ogóle największymi. Bo jesteśmy schowani w laptopach i smartfonach, czasami w książkach, kindle'ach i innych takich i myślimy tylko o tym, żeby nam było wygodnie. Ale przecież ci młodszy są bardziej schowani, bo od urodzenia, bla bla bla. A ci starszy schowani mniej? Błędne koło.

Moje pokolenie składa się z kilku grup, choć nie cierpię grupować, szufladkować, generalizować.

Są malkontenci i cynicy. Tacy, których widzisz i już wiesz, że nie chcesz ich poznać. A jeśli musisz ich widywać na co dzień, to wiesz, że nie będziesz nigdy miał ochoty wyjść z nimi na kawę. Ani podzielić się kanapką. Im wszystko się należy, nikogo nie lubią, na wszystko się krzywią. A jak już nawet udają, że kogoś lubią, to robią to chyba tylko po to, żeby nie być samemu. No bo wiadomo, człowiek nie jest samotną wyspą, bla bla bla. Trzeba mieć chociaż kogoś, kto będzie obok ciebie siedział, kiedy gapisz się w swojego smartfona i scrollujesz głupoty na Fejsbuku czy innym Pinterescie. Tacy ludzie stanowią chyba większość tych środkowych. Nawet kiedy składają ci życzenia świąteczne, to robią to w taki sposób, że masz ochotę im przywalić. Są uszczypliwi i chamscy, nawet kiedy udają miłych. A najgorsze jest to, że im się wydaje, że są cholernie inteligentni. I że cynicznie komentując i patrząc na każdego z góry, są ponad tę szarą kretyńską masę. Nigdy ich nie lubiłam.

Kolejna grupa to internetowe dusze towarzystwa. Na Fejsbuku jest ich pełno. Krzyczą postami, zdjęciami, drą się „TUTAJ JESTEM, PATRZ NA MNIE, ZJADŁEM ŚNIADANIE, ĆWICZYŁEM, NIE ZROBIŁEM ZADANIA, WYPIŁEM PIWO, JESTEM BARDZO SZALONY”. Ale poza swoim „akwarium” nie istnieją. Kiedy widzisz ich w rzeczywistym świecie, nic nie mówią. Siedzą w kącie i to przeważnie bez żadnych znajomych. Po prostu są. Egzystują. Czekają, żeby godziny w realnym świecie przepłynęły, żeby mogli znów wrócić do akwarium i krzyczeć, jacy są super. Ich życie musi być bardzo smutne. Nigdy ich nie lubiłam.

Są też internetowo-rzeczywiste dusze towarzystwa. Oprócz tego, że codziennie widzę na Instagramie ich selfie z imprezy, widzę ich też robiących sobie selfie na uczelni. Albo na ulicy. Z grupą znajomych albo sami, nieważne. Kiedy staniesz obok nich przez przypadek, masz przerąbane. Dopóki nie znajdziesz jakiejś głupiej wymówki, żeby odejść, słuchasz miliona niesamowicie pasjonujących historii. Jak dużo wypięm w sylwestra. Jak zmienię swoje życie, bo nowy rok. Jak przeszedłem na weganizm albo marihuanizm. Nie wiem, czy ich historie są wymyślone, ale nawet jeśli nie, ich życie to musi być bardzo ciężka praca. Cały czas muszą się „sprzedawać”, cały czas komuś udowadniać, że są super. Mimo że inni wcale tego nie potrzebują. Nigdy ich nie lubiłam.

Następni są pracusie. Obok nich też lepiej nie stawać, bo jeszcze boleśnie się przekonasz, jak wiele nie zrobiłeś, czego nie przeczytałeś, o jakim deadline zapomniawsz. Na ich fejsbukowym profilu też tylko mnożą się mądre teksty. Oni też udowadniają. Bardzo łatwo złamać im cały świat, pokazać, jacy są mali i jak ich praca nie ma żadnego znaczenia, ale nikt tego nie robi, bo pracusie są nieszkodliwi. Zawsze tylko się zastanawiam, jak to jest nie mieć zupełnie życia towarzyskiego? Nigdy ich nie lubiłam.

Oczywiście są też huby, ale o nich nie warto wspominać. Oni po prostu asymilują cechy osób, do których są przyczepieni. Nic więcej nie mogę o nich powiedzieć. Nigdy ich nie lubiłam.

No i oczywiście jestem ja. Oczywiście indywidualistka. Oczywiście nie należę do żadnej z grup. Bla bla bla. Tak naprawdę jestem trochę cyniczna, trochę zamknięta, trochę imprezowa, trochę głupia. Tak naprawdę żadna z tych grup nie istnieje. Nigdy siebie nie lubiłam.

Internet krzyczy głośno. Jęczy w nostalgii i wspomina. Żyje przeszłością młodzieży lat 90.

Młodzież lat 90. jest dumna i dziękuje Internetowi za uwagę – lecą lajki, łapki w górę, reposty, reblogi, szery. Gimbazy nie rozumieją. Czasów, gdy za młodego nie oczekiwano się postępu.

Dzieci XX wieku nie rozumieją dzieci lat 90.

Rodzice nie zmuszają swoich dzieci, by wychodziły na dwór, rodzice zmuszają swoje dzieci, by wracały wcześniej do domu. Wycierają obtarte łokcie, zakleją zdarte kolana. Ubrania dzieci piorą często – przecież najlepsze kryjówki są w krzakach, w bazach pomiędzy chaszczami woda wolniej wysycha. Trzeba kupić proszek do ubrań kolorowych, by poprać te wszystkie koszulki, a potem jeansy. Ktoś musi pójść na targ – zasilacz do pegasusa się spalił od całonocnego grania w tanki. Nie było możliwości zapisu gry, ale nikt nie wyczekuje, kiedy pojawią się gry z taką opcją. Dzieci lat 90. biorą wszystko takie, jakie jest. Teraz wieczorynka. Jutro będą jeszcze inne bajki, może uda się coś obejrzeć na rozkodowanym Canal+. Dzieci lat 90. obudzą się z samego rana, by zdążyć na poranne pasmo ulubionych bajek.

W latach 90. dorastało się powoli. Chłopcy nie wstydziły się tego, że oglądają bajki, w których główna bohaterka to księżniczka, w imieniu księżycy walcząca ze złem. Dziewczynki nie miały obsesji na punkcie robienia sobie slit fotek w toalecie. Zresztą, jak miały to robić, gdy z dwojga złego na urodziny wołałyby dostać Furbiego, a nie aparat fotograficzny. To zabawki były przedmiotem dumy, a zabawkami mogło być wszystko – kapsle z butelek, plastikowe krążki z czipsów, gazetka z supermarketu. Dzieci lat 90. nie gnają do przodu. Nie chcą dorastać. Cenią sobie chwilę.

Młodzież lat 90. nie zna smaków gimnazjum. Dojrzewa, nie rozdrabniając się, wśród ludzi, których przyszło im poznać za młodu. Dorasta wśród swoich, nie musi nagle zmęznieć. Wszystko może toczyć się w swoim spokojnym tempie, przygotowując ją do opuszczenia murów szkoły. Spokój jednak nie oznacza nudy, o nie. Młodzież lat 90. jest rozwydrzona, chce walczyć o swoje, ma wielkie plany i marzenia. Powoli w ręce tych dzieciaków trafiają kolorowe czasopisma, a one chłoną je jak gąbka. Jest to naturalne przejście z kolorowanego świata animowanego do świata 3D. Jednak mimo zamiło-

wania do popkultury nie pojawia się uczucie wstydu wśród tej młodzieży, jedynym guilty pleasure może być zamiłowanie do czekolady. Brak szykanowania z powodu gustu muzycznego, gdy zdecydowana większość kocha to, co jest im podawane. Panuje spokój. Młodzież lat 90. jest głośna, ale rodzice mogą być z niej dumni.

Dorośli lat 90. nie wstydzą się swojej przeszłości. Uważają się za rozsądniejszych. Ostatnią dobrą generację. Bo gdy bez przerwy porównują swoje dzieciństwo do tego, co dzieje się wokół nich, myślą, że mieli lepiej. Gdy oglądali bajki o drastycznym zabarwieniu, nikt ich nie musiał uprzedzać, by nie robili tego w domu. Takie bystrzaki, pozjadały wszystkie rozumy!

Ale gdy oglądają dzisiejsze talk-shows, niczym stare babcie powtarzają: „za moich czasów to było nie do pomyślenia!”. Papierosy, nastoletnie ciężce, poruszanie w serialach dla młodziaków tematów depresji, narkotyków, depresji, stanów borderline... I idzie się zastanawiać, czy kiedyś tego nie było, czy po prostu nie mówiono o tym głośno. Ale skoro w *Ulicy Sezamkowej* nikt nie poruszył tych tematów, to najwidoczniej to się nie wydarzało.

Dorośli lat 90. czasami żyją przeszłością i myślę sobie „to takie polskie.” Wspominają, jak przez całe życie nie musieli się martwić, co robić ze swoim życiem. Mama i tato pchali ich w stronę uniwersytetów, bo do zawodówki trafiają tylko ci, którzy nie przykładali się do nauki. Ucz się ucz, bo nauka to potęgi klucz! I łkają cicho pod nosem, gdy słyszą w radiu, że brakuje ludzi z wyuczonym zawodem, a oni po uzyskaniu magistra nieczęsto odnajdują się w otaczającej ich rzeczywistości. Biorą posadę tymczasowo, byle stanąć na własnych nogach, by potem celować już wysoko, tak by mama i tato byli dumni. Bo przecież nie po to stracili pięć lat po uniwersytetach, by teraz tworzyć tabelki w Excelu. Mają żal, że szkoła nie przygotowała ich na zastane czasy, a uczyła jak żyć historią. I dumali, dlaczego kiedyś bez zastanowienia Polskę nazywali domem. A teraz muszą uciekać za chlebem, chociaż chleb nie ma ni rączek, ni nówek. A mimo to staje się coraz bardziej odległy.

Pokolenie post-wszystkowe, czyli gdzie jest nasz sens

Ja i moi rówieśnicy jesteśmy dziwnym pokoleniem. Wszystko jest dla nas dostępne. Wydaje mi się, że pod tym względem jesteśmy bogatsi niż ktokolwiek przed nami. Nic nie stoi na przeszkodzie, by uczyć się języków, pracować za granicą, korespondować z ludźmi z drugiego końca świata, czerpać nowinki z wszystkich dostępnych dziedzin. Wszystko fajnie. Świat poniekąd został podany nam na złotej tacy. Powiedziano nam: „macie...”. Tylko nikt nam nie powiedział, jak i z czym to jeść, więc jak to dzieci chwyciliśmy to, co mieliśmy na talerzach przed nami, i zaczęliśmy się tym rzucać. Jesteśmy dziećmi, które mają wszystko. Tak, dziećmi, które mają wszystko w dupach.

Puszczono nas poniekąd bez nadzoru, wszystko, co robimy, jest super w oczach naszych rodziców. A skoro nasi rodzice podchodzą do nas w taki sposób, my też podchodzimy bezkrytycznie do samych siebie. Wszyscy jesteśmy idealni. Ale co nam po naszej idealności, skoro nie możemy jej nigdzie wyeksponować. Skoro mamy dostęp do świata, dlaczego świat nie miałby mieć dostępu do nas. Dlaczego nie ulepszyć świata naszym blaskiem, dodać kolejną gwiazdę do firmamentu gwiazd rocka i kina. I tak zalewamy sobą wszelakie Instagramy, Twittery, Facebooki i inne nowe media, by świat mógł się nami zachwycać. Przecież każdy łąknie informacji, co akurat zjedliśmy, jaki zestaw supermodnych ciuchów akurat założymy czy jaki „epicki melanz” był ostatniego weekendu.

Staliśmy się bogami dla samych siebie, tracąc przy tym umiejętność spojrzenia dalej niż czubek własnego nosa. Ale mam jeszcze cichą nadzieję, że bardzo chcemy spojrzeć dalej. Bardzo chcemy znaleźć nasz sens, bardzo chcemy mieć ten bardzo prosty, czarno-biały wybór: „dobre/złe”.

Nasi ojcowie budowali kapitalizm i walczyli z komuną. Nasi dziadkowie walczyli na wojnie. Nie było, że boli. Tak trzeba było. To było ich „dobre/złe”, które było narzucone z góry. A co mamy my? Wszystko jest już za nami. Nie mamy wielkiej depresji, jesteśmy za młodzi, żeby dotknął nas ostatni kryzys, nie mamy wroga z cienia, który tylko czyha na naszą wolność i swobodę. Sens, który był tak łatwo widoczny u naszych przodków,

zaginął. Więc wymyślamy sobie najeżdżających nas muzułmanów, spiski smoleńskie, homoseksualistów zagrażających tradycyjnemu i chrześcijańskiemu modelowi rodziny i inne tym podobne bzdury.

Każdy z nas szuka jakiegoś sensu. Coraz większa część z nas znajduje go w walce z wiatrakami. I może to jest to? Może jesteśmy swoistym Don Kichotem wśród pokoleń.

Miejmy tylko nadzieję, że tylko nam przypadnie ten tytuł, bo jeżeli będzie się to powielać, to przyszłość nie maluje się w kolorowych barwach...

Budzę się rano i nie muszę się martwić, że ktoś z mojej rodziny może dzisiaj zginąć od strzału Niemca. Wiem, że w lodówce jest coś na śniadanie, a jak nie ma – idę do najbliższego sklepu. I raczej zawsze coś jest. Gdy nie ma – idę kawałek dalej, do sklepu obok. Wolność. Wolność bombardowana ze wszystkich stron przez media, przyjaciół, rodzinę. Wszyscy mówią, co chcą. A ja wybieram sobie to, czego chcę słuchać:

Komputer (Internet) – ogólnodostępny symbol współczesności, umożliwiający uczenie się i pracę. Narkotyk, pochłaniacz czasu. Mac, PC, iPhone, słuchawki w uszach.

Moda – „indywidualny” styl. Jeden wielki eklektyzm, rzadko coś „nowego”. Marka, nie-marka – bez znaczenia?

Szkoła – nowe technologie, bycie mądrzejszym. Dyskryminacja, wyuczone schematy. Giertych, mundurki, nie-mundurki.

Kościół – wyciszenie i przywrócenie porządku. Skandale księży, krytyka niewierzących. Trzech papieży.

Uczucia – szczęście, miłość. Totolotek, gender.

Sława – świetny wokół, YouTube, *Mam Talent* i inne. Każdy może być gwiazdą.

Wojna – raczej brak. World Trade Center, Irak, Ukraina.

To tak po kilka przykładów tego, jak różne są opinie ludzi mojego pokolenia. Jest dobrze i źle. A czasem też szaro. Na współczesny świat trzeba patrzeć trzeźwo albo... porządnie się nawalić. Czasem kolorowo się nawalić. A jak za dużo, to wyrzygać i sflukać. Nikt i tak nie będzie pamiętał. Bo za szybko. Najważniejsze, by się w tym wszystkim odnaleźć. I przetrwać. Przetrwać najlepiej nie-byle-jak. A ludzie i tak narzekają. I tak będą. I dużo ludzi powie, że to pokolenie miało się źle.

X

Daleko jeszcze?



Współczesne pokolenie – pokolenie wolne i szczęśliwe, wyswobodzone z kajdan niewoli i ograniczeń przez pokolenia rodziców, dziadków oraz wcześniejsze. Ja, jako jego uczestnik i obserwator, nie czuję oraz nie doświadczam owej wolności w sposób, w jaki odczuwaliby ją moi rodzice. Jako czysta kartka, nieskażona gwałtownością oraz siłą doświadczeń minionych, na bieżąco obserwuję i odnotowuję świat po swojemu. Jeżeli sam miałbym zdefiniować wywalczoną przez wcześniejsze pokolenia wolność, to na pewno byłby nią Internet, będący naturalnym wrogiem wszelkiego rodzaju cenzury, dający pole do nieskrępowanego wyrażania swoich opinii i poglądów. W szkole nie nauczono mnie wiele poza przyswajaniem informacji, które ulegały szybkiemu zapomnieniu, a ich miejsce zajmowały nowe. Od czasu do czasu w mojej głowie pojawia się swego rodzaju pustka, którą wiele ludzi zapętnia, oglądając wieczorne wiadomości. Podziwiając zaś dzieła sztuki współczesnej, odnoszę wrażenie, że świat stracił jakość oraz wyrazistość na wielu płaszczyznach, które cechowały pokolenia wcześniejsze. Dzisiejsze społeczeństwo nie potrafi w sposób jednoznaczny określić swojego wroga, dlatego powszechna agresja znajduje ujście w piłce nożnej, która zamienia się w fanatycznie wyznawaną religię, oraz w idealnie odpowiadającym tego typu potrzebom stereotypach. Myślę, że współcześni ludzie, reprezentujący nowe pokolenie, wskutek odczuwania braku prawdziwego sensu ich głębszej zbiorowej egzystencji, zaczną przeżywać mentalną przemianę, będącą podstawowym ogniwem wszelkich pozytywnych zmian na nowym etapie rozwoju zbiorowości ludzkiej.

Pokolenie S.

Moje pokolenie jest SUPER. Co możemy zaoferować światu jako jego przedstawiciele? Biorąc pod uwagę zdrowych osobników (TEORETYCZNIE), nasze dwie ręce (a co za tym idzie wytwory ich pracy) oraz nasze umysły (i to, co wynika z ich użycia).

Ręce przedstawicieli mojego pokolenia są średnio rozwinięte manualnie. Piszemy raczej niedbale, ale potrafimy jeszcze utrzymać w dłoni długopis! Rzadko chwytamy po pędzel czy nożyczki. Częściej kupujemy kopertę, niż składamy ją z papieru. Nie budujemy własnoręcznie karmników dla ptaków ani nie cerujemy dziurawych skarpetek. Szydełkowanie czy robienie na drutach nie służą nam raczej za rozrywkę. Ale za to klikamy! Dużo klikamy i w tym jesteśmy SUPER!

Mamy też umysły. Przeciętnie, jak miemam na podstawie obserwacji, myślimy o seksie, o imprezach, o tym, że studia wcale nie gwarantują nam przyszłej pracy, o seksie, o seksie, o metodach na kaca, o śmiesznym filmiku obejrzanym na YouTube, o zabawnym democie/kwejk, o zwiastunie *Gwiezdnych wojen*, o nowym iPhone i o tym, żeby ZALAJKOWAĆ na FEJSIE, że XYZ jest W ZWIĄZKU, i jeszcze o seksie.

Jesteśmy wyprodukowani. Odtwórczy. Mamy myśleć tak, jak mówiła pani polonistka w liceum. Mamy pisać tak, żeby wpisać się w klucz. Mamy mieć markowe ciuchy i jeden z najnowszych modeli telefonu, bo inaczej nie będziemy SUPER. Żeby istnieć, musimy mieć profil na Facebooku. Najlepiej, żebyśmy imprezowali co najmniej raz w tygodniu i nie byli przy tym zbyt cnotliwi. Bezpiecznie jest lubić Harry'ego Pottera, bo przecież wszyscy go lubią. W każdym innym wypadku uznają nas za dziwaków.

Niemniej w tym ogóle są jednostki. To te jednostki są naprawdę SUPER, choć chyba wcale prawie w ogóle na tym superostwie im nie zależy. Jednostki te mają swoje cele, wiedzą, co chcą osiągnąć, i do tego dążą. Nie spędzają połowy życia w galeriach handlowych. Oczywiście, korzystają z Internetu, ale w umiejętny sposób. Potrafią nawet rozmawiać z drugim człowiekiem! Na żywo!

Nasze pokolenie jest pokoleniem, przed którym świat stoi otworem. Osiągnięcie sukcesu nie wymaga dużego wysiłku. Jak nikomu innemu, to właśnie nam podano na tacy prawie wszystkie potrzebne elementy. Są tacy, których to nie interesuje. Ale prawdziwe SUPER-jednostki wykorzystają daną nam szansę. Mają wszystkie cechy, które mieli wielcy ludzie tego świata, a do tego umieją przecież szybko klikać. Dzięki nim jeszcze będą z nas ludzie. Bo i umysłem, i rękami zdziałamy cuda. Obiecuję.

Manifest mojego pokolenia

Urodzili się w 1993 roku. W wolnym, coraz silniej rozwijającym się kraju. Okres ich lat dojrzewania, poznawania i filtrowania poznanych informacji przypada na wolne lata 2006+.

Przeszli przez szeroki asortyment urządzeń elektrycznych. Od tych stworzonych do pomocy w codziennym życiu, po te „coś więcej”, którym nierzadko oddaje się kult. Kiedyś wystarczało to, co spełniało daną funkcję. Z czasem jednak funkcji było coraz więcej, a najważniejsze stały się nawet ponadfunkcje. Zbędne do przeżycia, lecz pożądane, bo lepiej mieć. Wciąż chcą się doszukiwać. Nie ma – to trzeba znaleźć. Jest – to niekoniecznie prawda. Jest zbyt wiele – to nie ma nic. Martwy punkt. Natłok informacji w każdym momencie odwraca uwagę od tego, co najważniejsze. Duże możliwości kontaktu z każdym stwarzają paplaninę, która może być czasami rozrywkowa, lecz na ogół nie wnosi nic godnego uwagi. Z jednej strony dużo informacji, z drugiej dużo możliwości rozerwania się. Są poinformowani na każdy temat po trochu, lecz na żaden w pełni. Rozrywają się.

Muszą być indywidualistami, bo dookoła ich pełno. Nie będą nikogo naśladować poza naśladowaniem nienaśladowania innych. Zabili autorytety albo przynajmniej diametralnie zmienili znaczenie tego słowa. Kiedyś autorytet moralny to była osoba w pełni godna naśladowania. Była dobra, bo dobrze robiła. Oni przez natłok informacji wiedzą, że dobrze tylko zrobiła, a robiła różnie, jak każdy. Jak więc może być wzorem? Nie czerpią od jednostki, lecz od jednostek, z każdej po trochu filtrując i przywłaszczając to, co dla nich cenne. Chyba lepiej.

Widzę oczywiście siebie w nich. Jestem jakimś z tych. Każdy od siebie się różni, jednak pewne wpływy otoczenia zadziałały na nas podobnie. My to nie tylko, rzecz jasna, jeden rocznik. Jednak to on ma największy wpływ na mnie i z tego punktu widzenia mogę opisać nasze pokolenie. Widzę to mniej więcej tak: przepych, nadmiar, łatwość. Jeśli tylko nie gubi, może nieźle pomagać.

Autorzy posterów

Brygida Czartoryska	s. 64
Marta Fattori-Wereszczyńska	s. 74
Daniel Janiczek	s. 80
Daniel Janiczek	s. 86
Grzegorz Markowicz	s. 96
Karol Zawadzki	s. 108
Martyna Nowak	s. 120
Martyna Nowak	s. 128
Michał Porada	s. 138

